

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 26 września 1948 r.

Nr 39 (148)

TREŚĆ NUMERU: L. Górny — Błędne tezy; W. Bąk — Judasz; Z. Jakimiak — Powstaje rodzina; J. B. Rychliński — Pamiętnik Hannibala; Wędrowniki po scenach polskich; K. Kornik — Przez trzy cmentarze; S. Urstein — Życie muzyczne Warszawy; Tydzień kulturalny; O zagadnieniach muzyki polskiej; W. Pietrzak (Balk) — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że... Film.

Mieczysław Kurzyrna

## SPRAWY BOSKIE I POLSKIE

Myszę, że na ogół nie należy karcić czytelnika osobistymi przeżyciami recenzenta przy czytaniu oceniającej książki. Ostatecznie są to sprawy prywatne, a recenzja powinna mieć wartość obiektywną, głębszą i szerszą, niż impresje nawet doświadczonego, ale pojedynczego czytelnika. Tym razem jednak sprawa wydaje się istotna, bo pewien typ przeżyć może mieć znaczenie poza indywidualne, a w każdym razie może stanowić przykład odczuć typowych.

Ostatnia książka Grabskiego\*) jest książką budującą. Waham się przed użyciem tego słowa. Nie ulega wątpliwości, że najczęściej brzmi ono fałszywie. A przecież trudno mówić inaczej, jeśli pod wpływem lektury potęguje się to wszystko, co stanowi jakże często przygluszką przez narłok codziennych obowiązków, tęsknotę ku dobru, jeśli powstaje wzruszenie głębsze od wrażeń jedynie estetycznych i bądźmy szczerzy, chęć naśladowania.

Przy tego rodzaju refleksjach z lektury rodzi się mimo woli pokusa rewizji podstaw estetyki, wiązania jej z jakimś systemem etycznym. W tygodniku trudno sobie na nią pozwolić i odłożyć należy tego typu zamiar do właściwszej pory i miejsca. Jeśli jednak wrażenie jest duże, może usprawiedliwić zastrzeżenia postawione przed chwilą, może wytłumaczyć, dlaczego zaczyna się od impresji.

Szukając przyczyny, dla której lektura „Konfesjonatu” odbiega od normalnego typu percepcji, wymienić należy przede wszystkim jej tematykę katolicką. Już to samo w polskiej literaturze współczesnej nie jest faktem codziennym. Ostatecznie twórczość katolicką przedstawia się nader skromnie, tym więcej, jeśli uwzględnić te wszystkie pozycje, które pozostają jedynie formalnie związane z naszym poglądem na świat.

U Grabskiego jest inaczej. Sprawy najdonioślejsze, problem wszechobecnego Boga, zawarty jest w powieści immanentnie, stanowi jej treść i przenika formę. Przy tym rzecz cała jest czytelnikowi bliska, dzieje się w sferze dnia codziennego każdego z nas, jest dostępna zrozumieniu na każdym niemal poziomie. Nawet mistycyzm, tak obcy umysłowości nowoczesnej, staje się zrozumiały, frapujący i w stosunku

\*) Władysław Jan Grabski — Konfesjonal tom I i II. — Nakł. księgarni św. Wojciecha w ramach „Klubu Jasnych Książek” nr. 1.

Czytelnicy „Dzisiaj i Jutro” mogą jeszcze zgłaszać się na członków KJK na pośrednictwem redakcji.

do rzeczywistości poznania zmysłowego jednorodny.

To wszystko nie mogłoby, rzecz prosta, okupić błędów artystycznych, gdyby było ich wiele. W utworze literackim wszystkie elementy są tak mocno sprzęgnięte, że jakiegokolwiek niedomagania, począwszy od stosunku stworzonej przez autora fikcji literackiej, do rzeczywistości pozaliterackiej, poprzez zagadnienia kompozycyjne, aż do rodzaju chwytów formalnych niszczą wrażenie odbiorcy i uniemożliwiają czytelnikowi wzruszenie. Tracą na tym zwłaszcza wzruszenia natury najbardziej intymnej, wzruszenia religijne, jako najwrażliwsze i najdelikatniejsze. Przy tego rodzaju typie przeżyć jakiegokolwiek nadużycie patosu, jakiegokolwiek niedokładność, przesada, czy niedomiar stają się grzechem nie do darowania. Najbardziej więc interesującym pytaniem będzie, do jakiego stopnia Grabskiemu udało się pokonanie trudności tworzenia literackiego i czy udało mu się w ogóle.

### ZADATEK NA EPOPEE

Chyba to był istotny zamiar Grabskiego przedstawić świat przez kraty konfesjonatu. Treścią powieści „Konfesjonal” są bowiem nie tyle przeżycia jej bohatera głównego, księdza Sadoka, ile pokazanie Polski sprzed roku 1939 a później w rzeczywistości okupacyjnej i obozowej. To odróżnia książkę od jej pierwszej części wydanej przed dziesięć laty („W cieniu kolegiaty”). Najistotniejszą sprawą była wówczas postać mistyka, walczącego o siebie samego z Bogiem, a później szatanem. Tu Sadok jest jeszcze główną postacią powieści, prze staje jednak być jej głównym problemem.

Jako teren akcji wybrał Grabski jedną z podwarszawskich parafii. Czytelnik wchodzi w świat jakiejś Podkowy Leśnej, Skolimowa, czy Świdra, ale w tym świecie nie pozostaje. Koloryt lokalny, choć istnieje, choć autor w sposób plastyczny pokazuje osiedle willi, parceli podmiejskich i ciężenia ku pobliskiej stolicy, jest zagadnieniem drugorzędnym. W wianowie obserwować można całe społeczeństwo i całą niemal problematykę państwową.

W tym nie ma przesady. Skrzywdzony przez Towarzystwo Parcelacyjne podmiejski chłop, Górniak, jego zarażony już miastem syn, służąca Helcia, dostojnik Chmił, potentat przemysłu Milewski, poeta-szpiciel, Biwko — to reprezentanci nie tylko już klas, ale nawet problemów, nawet dążeń poszczególnych warstw społecznych.

Problematyka polityczna, to ciąg dalszy tego samego zagadnienia.

Grabski nie waha się sięgnąć do najbardziej drastycznych spraw. Jakże mocno przeżywa w jego powieści załazek tragedii września umierający na parę miesięcy przed wybuchem wojny były legionista i senator Chmił, jak wyraźnie rysuje się, no cóż, chyba trzeba użyć tego słowa, obóz sanacyjny w czasie nabożeństwa żałobnego 19 marca. Inna sprawa, czy ocena autora jest słuszna. Wydaje się, że Grabski lepiej rozumie schyłek dwudziestolecia, niż okres okupacji. Drugi tom przy nosi czytelnikowi zbyt wiele idealizacji, niemal naiwności. To jednak jest już sprawą odrębną i nadaje się do osobnej analizy. Zresztą do osobnej analizy nadaje się kwestia całego niemal drugiego tomu. O tym ostatnim jednak za chwilę.

Reprezentatywność postaci przed stawionych przez Grabskiego nie odbiera im cech ludzkich. Jest to może jedna z największych zalet książki, że autor stwarza przekonujące sylwetki psychologiczne. Niektóre są wręcz kapitalne, choć nakreślone nieraz kilku zaledwie kreskami. Jakże typową jest Wanda Kiełtykowska — pływka wychowanka szkoły zakonnej, która przyjęła jedynie formy zewnętrzne katolicyzmu a uzupełniwszy je wrodzoną hipokryzją stała się uosobieniem głupoty i przewrotności. Ile prawdy zawiera się w trosce starego Górniaka o nieistniejących wnuków, jego chęciowości na ziemię i abnegackiego, a jednak prawdziwego egoizmu. Ile wreszcie niezatartych rysów ma bezideowy poeta-szpiciel Biwko, który drukuje radykalne wiersze zarówno w prasie marksistowskiej jak i ONR-owskiej. Nawet zupełnie drugorzędne postaci, jak np.: szturmak kuchenny, Joasia, tętnią prawdziwym, nie urojonym życiem.

Tu Grabski jest przy tym odważny. Dla prawdy psychologicznej (no i uczciwości autorskiej) nie rezygnuje z wprowadzenia ujemnych postaci z własnego obozu. Księża, po za Sadokiem, to ludzie i to ludzie mali. W dobie nadmiernej broni własnego obozu należy policzyć to jako jeszcze jeden plus dla autora „Konfesjonatu”.

Nad tym zaś wszystkim, nad prawdą społeczno-polityczną i psychologiczną jest Bóg. Jest także szatan. Obaj czynni, obaj w akcji w każdej chwili i w życiu z każdej postaci. I należy od razu powiedzieć, że Grabski uczynił ich równie realnymi, jak postaci ludzkie. Zławsza w pierwszym tomie. Później przesadził nieco wpływ pierwiastka nadprzyrodzonego. Szczególniej w stosunku do dyskrekcji mistycyzmu w poprzedniej „W cieniu Kolegiaty” koniec „Konfesjonatu” jest zbyt

zbyt grubo. Bezpośrednia interwencja zmarłej Ingi robi nieprzyjemne wrażenie. Nawet w pierwszym tomie rażą rozmówki, często nawet naiwne Sadoka ze św. Teresą. W sumie jednak czytelnik wierzy autorowi, a nawet musi Mu wierzyć. Grabski jest w tym zakresie przekonujący nie tylko jako katolik, ale najczęściej także jako artysta.

Mówiłem już o immanentnej obecności Boga w „Konfesjonale”. Tu właśnie ta cecha powieści święci triumfy. Gdyby w autorskiej koncepcji świata były zbyt duże luki, mistycyzm stałby się nieznośny. Tak przeważnie jednak nie jest i dlatego winniśmy wdzięczność Grabskiemu nie tylko jako katolicy, ale także jako odbiorcy sztuki...

I jeszcze jedno należy w tym miejscu zaznaczyć. — Wartość poszczególnych scen powieści. Jest ich wiele bardzo udanych, niektóre jednak specjalnie zwracają uwagę. Spośród przedślubna Wandy Kiełtykowskiej i jej narzeczonego Milewskiego należy do najlepszych. Ale i wlamanie dokonywane przez młodego Górniaka przykuwa uwagę i kłótnia kochanków Biwki i Wandy i obecność w kościele półobłąkanej Nadziei Pardońskiej, godne są zaznaczenia. Grabski umie nie tylko wczuć się w psychikę swych postaci, ale umie także wyznaczyć im działanie, stworzyć otoczenie, a w rezultacie uwieźić pamięć czytelnika. Mimo osłabienia napięcia artystycznego w drugim tomie powieści, jakże doskonale są poszczególne fragmenty rozmowy SS-manów w cichym gabinecie komendy Oświęcimskiej.

### PARAFIA IDEALNA

Jeśli przyjąć założenie, że „Konfesjonal” ma cechy epopei, to trzeba zaznaczyć, że taka klasyfikacja nie wyczerpuje istoty tej książki. Grabskiemu chodziło nie tylko o to co jest i było. Chodziło mu także o to jak być powinno. Wianów stanowi wprawdzie parafię typową, jest syntezą społeczeństwa polskiego przed rokiem 1939, ale jednocześnie ma być przykładem budowania życia parafialnego, stanowi obraz narastania ideału. Przynajmniej w zakresie stosunku proboszcza do wiernych i obowiązków religijnych.

Niestety ta strona książki jest słabsza i to z wielu powodów. Grabski przekroczył tu ramy realizmu, a na wet prawdopodobieństwa. Rozumienie doskonale, że w literaturze należy przyjmować pewne konwencje. Bez tego niemożliwe jest rozumienie nawet utworów współczesnych, nie mówiąc już o twórczości okresów minionych. Jeśli jednak konwencji jest zbyt wiele, jeśli są zbyt jaskrawe, odczucie estetyczne traci

Najpowszechniejszym zarzutem stawianym na tym odcinku „Konfesjonali” jest zbyt szybka poprawa owieczek księdza Sadoka. To ma być nawet prawdę psychologiczną postaci, które na ogół tak są wyrażone i przekonująco stworzone. Jeszcze uzasadniona jest poprawa starego Górniaka. Przeszłość przedstynuje go do religii. Znacznie już jednak gorzej wygląda nawrócenie Chmiła, a zupełnie nieprawdopodobnie obudzenia życia wewnętrzne go w Górniaku - synu. W ogóle pod wpływem proboszcza (prawda — idealnego; o tym za chwilę) cała parafia zmienia się radykalnie. I szybko. To najważniejsze — za szybko.

Grabski wymaga od nas przyjęcia czasu konwencjonalnego. No, zgoda. Wolno mu tak stawiać sprawę. Cóż jednak zrobić, że jednocześnie stawia realne granice czasowe, określając je na podstawie pór roku i wypadków historycznych. To zaś nie jest już prawdopodobne. W ciągu kilkunastu miesięcy nie tylko umiera poprzedni proboszcz i Sadok obejmuje jego miejsce, ale wypełnia się kościół, mają miejsce nawrócenia, rośnie nieporównanie frekwencja penitentów, a Sadok zdobywa mądrość i doświadczenie. Na prawdę nieco tego za dużo.

I nie jest to jedynie błąd formalny, jakaś usterka w sposobie pisania. Wydaje się, że rzecz sięga głębiej, a kluczem do jej zrozumienia jest bodaj autorski pogląd na świat, a przede wszystkim postać samego Sadoka.

### POSTAĆ ŚWIĘTEGO

Wśród szeregu doskonale zarysowanych sylwetek psychologicznych „Konfesjonatu” bohater główny najwięcej budzi zastrzeżeń. Zławsza jeśli pamięta go się z „Kolegiaty”. Tam był zupełnie inny. W ostatnich rozdziałach uległ przemianom. Był przedmiotem cudu. Zgoda. Tu jednak jest zupełnie nowym człowiekiem, co gorzej jest idealnym.

Piszę gorzej, bo gdyby był jedynie człowiekiem, choćby narysowanym nie całkiem prawdziwie można by rzecz jedynie zaznaczyć, bez względu na szczegóły. Grabski uczynił jednak z wianowskiego proboszcza postać sztandarową, sprawcę cudów i twórcę określonej rzeczywistości. To zaś wymaga analizy.

Ksiądz Sadok jest jednostką wysoce zaawansowaną w postępie wewnętrznym. Zbliża się nie tylko do świętości, pojętej jako realizacja zamiarów bożych w człowieku, we dług zasady „kochaj i rób co chcesz”, ale także do świętości r

(Dokończenie na str. 8)

Dm 59/05

## W świecie... Ludwik Górny

NA LINII  
MOSKWA — WASZYNGTON

NA linii Moskwa — Waszyngton sprawy nadal układają się niewyraźnie. W Moskwie konferencje między ambasadorami z jednej a Stalinem i Mołotowem z drugiej strony trwają nadal i według relacji agencji dyplomatycznej opuszczają każdorazowo Kreml w doskonałych i pomysłnie wróżących humorach. Lecz jednocześnie zasadniczego odprężenia w sprawie Niemiec ciągle dostarczać nieposób. W Berlinie trwa już od przeszło miesiąca mała „wojna domowa“ polegająca na walkach ulicznych (chwila!!!), na demonstracjach, nawet aktach terroru Niemców reprezentujących odmienne orientacje polityczne pomiędzy sobą. W walce tej interweniuje żandarmeria okupacyjna anglosaska, ale z dość wyraźnym, politycznym zabarwieniem swych porządkowych akcji. Jednocześnie poszczególne niemieckie ugrupowania polityczne, zwalczając się na terenie Berlińskiej Rady Miejskiej w wyniku czego w praktyce istnieją właściwie dwie władze municypalne: zachodniego i wschodniego Berlina. Końca tych korowodów ciągle nie widać.

Porozumienie „niemieckie“ powoli klejące się zapewne w Moskwie nie rzuca się jak widać na inne sprawy. Do Paryża zwołana została konferencja czterech ministrów, by zgodnie z traktatem pokojowym zdecydować los b. kolonii włoskich. Konferencja ministrów zmieniła się w konferencję trzech zastępców i 1 ministra (Francja). Przy czym różnice w projektach rozwiązania kwestii kolonii włoskich okazały się tak duże, że sprawę bez załatwienia przekazano Generalnemu Zgromadzeniu ONZ.

### INDIE W OGNIU

**L**EDWO 11.IX zmarł nagle generalny gubernator Pakistanu, przywódca Ligi Mahometańskiej, Mohamed Jinnah, już następnego dnia Hindustan wystąpił zbrojnie przeciwko księstwu Hajderabad, co równa się w praktyce atakowi na Pakistan. Księstwo Hajderabad było jedynym jeszcze niezależnym księstwem w Indiach, które nie zdecydowało się na przyłączenie ani do Hindustanu ani do Pakistanu. Działo się tak dlatego, że książę, władca Hajderabadu, skłania się ku Lidze Mahometańskiej, (więc ku Pakistanowi), ludność zaś ciężko ku Hindustanowi. Wojska Hindustanu wkroczyły do Hajderabadu bombardując miasto z samolotów. Rada Bezpieczeństwa zajęła się tą sprawą. Wojska idą na przód i zapewne jeżeli Pakistan nie wystąpi zbrojnie — zajmą Hajderabad. Jeżeli Pakistan obejmie obronę księcia, Indie staną w ogniu bratobójczej walki spowodowanej razem lekkomyślnością feudalnego kacyka.

### ZNOWY MORD POLITYCZNY

**D**NIA 17.IX. zamordowany został w drodze do Jerozolimy rozjemca ONZ w Palestynie hr. Folke Bernadotte. Sprawy zamachu dotyczących są nieznanymi. Mniejsza o nich. Byli to prawdopodobnie jacyś fanatycy, szczerzy patrioci wykorzystani przez sprytnych i cynicznych polityków. Ważne jest, że ponura atmosfera w stosunkach między ludźmi nie znika i przeciwnie ciągle jeszcze najczęstszym argumentem jest kula. Kiedy to się skończy?

### Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE“

# BŁĘDNE TEZY

(Ciąg dalszy dyskusji o nauce katolickiej)

W związku z art. Adama Pankowicza pt. „Jeszcze raz pojęcie nauki katolickiej“ (zam. w nr 36 „Dziś i Jutro“), nasuwają się następujące uwagi:

1) Zasadniczym błędem Adama Pankowicza jest pomieszczenie nauki jako takiej z pojęciem stosowania tej nauki poprzez ludzi. O ile w zakresie twórczości naukowej normy etyczne mogą tylko dotyczyć pobudek, którymi się kieruje dany osobnik przy podejmowaniu twórczości naukowej, a nigdy nie mogą kontrolować zgodności tez naukowych z danymi płynącymi z Objawienia, kontrolować w sensie podporządkowania tez naukowych Objawieniu o tyle oczywiście w zakresie praktycznego wykorzystywania tych tez przez człowieka — normy etyczne obowiązują go, podobnie, jak w wszelkiej działalności ludzkiej.

2) Teza Pankowicza, że „zrywanie czy nienawiązywanie nici, łączących działalność naukową z filozoficznymi założeniami światopoglądu, musi stworzyć wokół intelektualisty-katolika, niebezpieczną próżnię, tym groźniejszą, że materializm w nauce zwraca baczną uwagę na korelację jej osiągnięć z tezami swej filozofii“ — jest całkowicie niesłuszną.

Uzależnianie twórczości naukowej od tez światopoglądu, nawet katolickiego jest powodowaniem zaniku tezy o twórczości. Błąd taki popełnili częściowo katolicy w średniowieczu, co zemszcilo się na nich tragicznie niedorozwojem wiedzy ścisłej, a w rezultacie spowodowało poprzez reformację odsunięcie się uczonych i środowisk naukowych od katolicyzmu i Kościoła katolickiego. Błąd, którego tragiczne konsekwencje ponosimy i dzisiaj nawet.

W twórczości naukowej nie ma żadnych bezwzględnie obowiązujących autorytetów i nie można powtarzać błędów średniowiecza powołującego się stale na autorytet Arystotelesa. Nie ma żadnej nauki katolickiej — jest to absurd niezmiernie szkodliwy dla Kościoła — jest to pomieszczenie porządku doczesnego z porządkiem wiecznym (błąd ten wykazał znakomicie X. Charles Journet w pracy pt. „Les exigences chretiennes en politique“, omawiając mesjanizm Mickiewicza), analogicznie jak nie ma literatury sensu stricto katolickiej.

Jest tylko nauka i literatura uprawiana przez katolików, w której ocenę wartości Kościół nie wchodzi. Ograniczenie zakresu dogmatu o nieomyślności Papieża dotyczy również nieomyślności Kościoła.

Analogiczny upadek zresztą ma miejsce wszędzie, gdzie tylko krepowana jest wolność nauki. W Nauce Polskiej (rocznik 38) znajduje się recenzja z dzieła poświęconego upadkowi nauki humanistycznej, a nawet ścisłej w ówczesnych Niemczech. Autor twierdzi, że nawet w zakresie fizyki teoretycznej itp. wolność hipotez, nieskorelowana z żadnymi wymogami światopoglądowymi jest rzeczą konieczną, gdyż inaczej wszelkiego rodzaju odkrycia tracą możliwości rozwojowe.

Ks. prof. Chojnacki w pracy swej o filozofii tomistycznej twierdzi, że

pojęcie filozofii katolickiej w ścisłym tego słowa znaczeniu nie istnieje. Jest tylko filozofia jedna, prawdziwa, i taka filozofia będzie zawsze zgodna z dogmatem, niezależnie od tego czy my to widzimy, czy nie będziemy

W związku z tym teza autora jakoby autonomia nauki nie miała wartości jest tezą błędną. Co „niego“ oczywiście oznacza zagadnienie wykorzystywania w życiu praktycznym tez naukowych, wyników jej odkryć. Tutaj oczywiście etyka działa, jak w każdej działalności człowieka.

3) Jedną z głównych tez światopoglądu kół okultystycznych, jak wiadomo wrogo ustosunkowujących się do katolicyzmu jest właśnie teza o „jedności pomiędzy nauką, filozofią i religią. Teza ta jest niezmiernie szkodliwa dla wszelkich tych trzech dziedzin. Uzasadnia to m. in. Feliks Koneczny w dziele pt. „Rozwój moralności“. Te trzy dziedziny rządzą się autonomicznie i posiadają własną terminologię oraz metodologię. Przenoszenie np. metodologii nauk teologicznych na płaszczyznę nauki ścisłej, a więc np. rozumowania analogicznego, spowodowałoby niedorozwój tych nauk, operujących zwłaszcza w zakresie przyrodznawstwa głównie indukcyjną. Dużo światła na te zagadnienie rzuca praca zbiorowa p. n. „Myśl katolicka wobec logiki współczesnej“. Studia Gnesnensia 1937 r.

4) P. Pankowicz w rozważaniach swoich opiera się na metaforycznych przykładach, wysuwając np. pojęcie fizyki ateistycznej w wieku XIX. Nie fizyka była ateistyczna, ale światopogląd wieku XIX. Jeżeli opierał się na mechanistycznej koncepcji świata to wówczas mógł być ateistycznym. Tego rodzaju „poetyckie“ rozumowanie nie posiada większej wartości dowodzenia.

5) Krytyka wysunięta przez Pankowicza tezy Gawlika, że jedynym warunkiem „katolickości“ (najszerzej pojętej) nauki nomotetycznej jest niesprzeczność z zasadami wiary, nie wydaje się uzasadniona. Wystwa on argument trudności ustalenia tej niesprzeczności wobec ograniczonej umysłu ludzkiego. Stanowisko to zwłaszcza w świetle dogmatu Soboru Watykańskiego głoszącego, że rozumem można poznać istnienie Boga, wydaje się tym więcej mylnym. Pankowicz również zapomina o możliwości ustalenia takiej niesprzeczności w skali prawdopodobieństwa, a nie tylko w skali absolutnej.

6) Błędną jest również teza Pankowicza, że miernikiem wartości obiektywnej nauki nie może być krytyka metodologiczna, i że pogląd taki nacechowany jak „gdyby przeświadczeniem o doskonałości rozumu ludzkiego jest anachronizmem.“

Błędną również jest jego teza, że miernikiem ostatecznym nauki są ponadnaukowe prawdy, objawione wierzącej ludzkości przez Najwyższy Autorytet.

Tezy tej Pankowicz nie udowodnił. Przyjęcie jej spowodowałoby zanik nauki i objęcie zakresu nauki przez zakres religii. Tego rodzaju pomieszanie

nie porządku doczesnego z porządkiem wiecznym widzimy na przykładzie cywilizacji hinduskiej, która dzięki temu nie stworzyła nauki humanistycznej, ani ścisłej we współczesnym tego słowa znaczeniu i nie wypracowała metodologii naukowej (patrz Koneczny — „Rozwój moralności“ i artykuł indologa Schayera, zamieszczony przed wojną w Przeglądzie Współczesnym, na temat nauki i logiki w cywilizacji hinduskiej).

Nie udowodnił również Pankowicz dlaczego sprzeciwia się tezie ks. Salamuchy o różnicach metodologicznych pomiędzy teologią a naukami szczegółowymi.

7) Niesłuszną jest teza Pankowicza o inspirowaniu uczonych z zewnątrz. Tezę tę przedstawił nam nieścisłe. Oczywiście inspiracja w sensie namowy a nie przymusu bezpośredniego, czy też pośredniego psychicznego, czy też fizycznego, może istnieć. Ograniczać się jednak winna tylko do tematyki, a nigdy do metodologii naukowej.

8) Niesłusznym jest zaprzeczanie podziału nauk na czyste i stosowane. Przeciwnie w zakresie nauk ścisłych, a nawet nauk stosowanych istnieje współczesna tendencja do różniczkowania się. Np. socjologia różniczkowuje się bardzo (dowód ks. Adamski — „Socjologia stosowana“, 1926). Rozbudowa metodologiczna nauk sprzyja ich różniczkowaniu m. in. na nauki czyste i stosowane.

9) Błędną jest teza Pankowicza jakoby katolicyzm z tego tytułu, że jest religią uniwersalną mógł kontrolować nauki. Katolicyzm nie rości sobie do tego pretensji. Kościół katolicki również. Niedawno kardynał Suchard w swoich słynnych na cały świat listach pasterskich twierdził, że Kościół zostawia absolutną swobodę nauki, nawet jeżeli ona dojdzie w swoich wynikach do rezultatów przeciwnych teom światopoglądowym katolicyzmu.

Kardynał Suchard, twierdzi, że celem nauki jest badanie Prawdy i osiągnięcie Prawdy. Dochodzenie przez naukę do wyników pozornie sprzecznych z katolicyzmem, może spowodować tylko większe zainteresowanie się tematem badania, w którego wyniku nastąpi tylko ustalenie zgodności z tezami katolicyzmu, względnie lepsze, prawdziwsze ich zinterpretowanie. Katolicyzm nie obawia się prawdy naukowej i nie kępuje jej — są to 2 zasadnicze tezy kardynała Sucharda.

10) Jak słusznie stwierdził Gawlik w swoim artykule, Pankowicz pomieszał nauki społeczne z polityką społeczną, czyli nauki opisowe z naukami nomotetycznymi. Ten podstawowy błąd metodologiczny dykwalifikuje jego rozumowanie. Niestety wiele osób, nawet dobrych katolików myśli kategoriami p. Pankowicza, co w rezultacie słusznie powoduje w stosunku do nich zarzut reprezentowania antyintelektualistycznego fideizmu, co jest rzeczą nie tylko w zakresie religii, ale nauki niedopuszczalną.

Ludwik Górny

## W kraju

AKCJA PRZESIEDLEŃCZA  
W TOKU

**O**STATNIE dni przyniosły ożywienie akcji przesiedleńczej rolników z Polski Centralnej na Ziemię Odzyskaną. Istnieją jeszcze dogodne warunki dla osadnictwa rolnego w niektórych powiatach województwa szecińskiego, a także w powiatach: Elk, Gołdap i Olesko woj. białostockiego.

Przesiedlający się, otrzymują na terenie Ziemi Odzyskanych gospodarstwa indywidualne, które posiadają budynki, nadające się do zamieszkania lub też — w razie braku budynków — tymczasowe zakwaterowanie w budynkach, przydzielonych już innemu osadnikowi, a mogących pomieścić jeszcze jedną rodzinę.

W związku z nadejściem na Ziemię Odzyskaną transportu 10.000 koni duńskich, należy zaznaczyć, że będą one przydzielane przede wszystkim nowoprzybyłym osadnikom.

Nadal przyznawany jest kredyt dla górnictwa na pomoc budowlaną, na który w roku bieżącym przeznaczono 2.234 mil. zł, zaś spółdzielniom, obejmującym folwarki, otwarto kredyt na zakup nawozów sztucznych, w wysokości 60 mil. zł.

POMOC DLA MAŁOROLNYCH  
I BEZROLNYCH OSIEDLAJĄCYCH  
SIĘ NA Z.O.

**M**INISTERSTWO Ziemi Odzyskanych uruchamia sukcesywnie kredyty dotacyjne, mające ułatwić przesiedlenie na Ziemię Odzyskaną tym rolnikom, którzy nie posiadają w dostatecznej mierze własnych środków na początkowy okres zagospodarowania się na nowych zagrodach.

Do korzystania z dotacji, uprawieni są małorolni i bezrolni, przesiedlający się z Polski centralnej, a nie posiadający dostatecznych środków własnych. Dotacja nie przysługuje rolnikom, posiadającym średnie i większe gospodarstwa rolne.

Pierwszeństwo mają w tym względzie rodziny, składające się z wielu osób, a nie posiadające inwentarza żywego.

Wysokość dotacji dla pojedynczej rodziny została ustalona na sumę 10.000 zł, z czego 3.000 zł wypłacać się będzie w gotówce, zaś resztę — w zbożu, po osiedleniu się danej rodziny na Ziemiach Odzyskanych.

Jak się dowiadujemy, przygotowwane są dalsze formy pomocy dla mało i bezrolnych, którzy osiedlają się na Ziemiach Odzyskanych.

APEL MINISTRA DO PRACOWNIKÓW PNZ

**M**IN. rolnictwa Dąb - Kociol zwrócił się do specjalnym apelem do ogółu robotników i pracowników Państwowych Nieruchomości Ziemskich w związku z procesem koszańskim. Wskazując, iż sabotaż, szkoda niwota gospodarze i niedbalstwo nie zostały z PNZ całkowicie usunięte. Min. Dąb - Kociol pisze: „Nakładam na każdego pracownika państwowych gospodarstw rolnych obowiązek zawiadomienia o tego rodzaju faktach swoich przełożonych, lub swoje władze partyjne“.

OGÓLNOPOLSKI ZJAZD  
GINEKOLOGÓW

**17** bm, rozpoczął obrady pierwszy po wojnie Ogólnopolski Zjazd Ginekologów. Bierze w nim udział ponad 200 wybitnych uczonych, działaczy społecznych i lekarzy.

Zjazd otworzył prof. Czyżowicz. Referaty wygłosili: prof. Kacprzak — o organizacji pomocy położniczej na wsi i w mieście oraz dr Henke — o zagadnieniu przerywania ciąży.

Po referatach odbyła się dyskusja. Uchwalone wnioski przedłożone będą władzom nadrzędnym.

Ciekawi jesteśmy, czy w tej tak ważnej sprawie uwzględniony zostanie także katolicki punkt widzenia.

W dniach 3-10 października

— odbędzie się —

„TYDZIEŃ CARITASU“

Katoliku! pamiętaj o obowiązku miłosierdzia

Wojciech Bąk

# J U D A S Z

(p o e m a t)

I.

Tu pola tak ewangeliczne  
Jakby nie pola — lecz wersety —  
Trawy są ciche i liryczne,  
Wiatr ma tu czuły głos poety.  
Na widnokregu las sosnowy  
Poważny jak głos apostołów —  
Oczyrna słucham ich przemowy  
I schylam z przerażeniem czoło.  
Oóż ja tu szukam. Tu, gdzie mogli  
Przed chwilą przejść apostołowie —  
Tak czyste są te polne drogi  
Jakby nie w piasku szły, lecz w słowie.

Tu kamień tak majestatyczny  
Jakby go dotknął Bóg przed chwilą  
I piasku blask jest tak mistyczny  
Jak słów, co nigdy nie mylą...

Oóż ja tu szukam zablakany  
Jak Judasz w Ewangelii —  
Tu wszystkie drogi, wszystkie lany  
Twym Słowem mnie napominają.

I kroczę przerażony sobą  
I groza mrokiem ścina oko,  
Niebo nade mną — Sądu słowo  
Ziemia pode mną — głos wyroku.

II.

Ty dobry Panie z Galilei,  
Nie myśl, że kłeska krew ma zmienia —  
Ścigano mnie — ja będę ścigał,  
Męczono mnie — zadam cierpienia.  
Tyś wierzył: nad śnieg bielszy będę,  
Łzami zmiekkczony i rozpaczę —  
Mnie boli uśmiech cudzej twarzy  
I radość moja w obcym płaczu.

Więziony — będę więził innych,  
Dreżony — będę innych strzelał,  
Krew ze mnie płynąc, mnie bolała,  
Gdy z innych płynie, rozwesela.

Sprzedawać Ciebie — to mój zawód  
I obcy mi Twój głos prowoczy —  
Dawno mnie niepokoją w nocy  
Twoje bolesne, czyste oczy.

Nie myśl, że będę bronil Ciebie —  
Sprzedam Cię niżli Judasz tuniej,  
Kto chce Cię kupić — niech się zgłosi  
Zdradzę Cię pierwszy całowaniem...

I sprzedawałem Cię — i drzewo  
Najwyższe w lesie wyszukałem —  
I razem z tłumem drwiłem z Ciebie,  
Kiedyś na Krzyżu zawisł ciałem.

Próżno żrenice konające  
Twojej męki mnie razily grozą —  
Myślałem: oto zwyciężyłem  
Tę moc natrętną, przemoc Bożą.

Znów zmartwychwstałeś — znów  
[sprzedałem,  
Krzyżować będę Cię na nowo —  
Byle zamilkły usta rzeczy,  
Noszące Twoje wieczne słowo.

Ty, który co dzień zmartwychwstajesz,  
Co dzień przeze mnie Krzyżowany —  
Jak mało znałeś mnie, gdyś wierzył,  
Że bry oczyszczą mnie i rany.

III.

Nie czekaj próżno na Twe źniwa  
Znów jestem tylko zimny kamień —  
Oóż z tego, że wolalem kiedyś:  
„Słowem mnie w ziemię żyzną zamieść“.

Tyś skały nie rozkruszył w glebę,  
By rzucić ziarno w nią dojrzale...  
Lecz — patrz — nie zdążył kłosem  
[trysnąc,

Bo już na nowo skamieniałem.

Czyż Cię nie nuży próżna praca?  
Patrz jeszcze mało mi jest zniszczeń  
I poprzez miasto krocząc z śmiechem  
Witam jutrzejszych stolic zgliszczą.

Widzę jak dymem się ulatnia  
Kamienne, żywe ciało miasta —  
I tysiąc tam za moim rozkazem.  
Pod niebem burzą blasku wzrasta.

Obliczam, kreślę w nocy plany,  
Jak więcej stolic w popiół zmienić —  
I czuję zapach przyszłych ruin  
I widzę przyszłych blask promieni.

Zaprzestań Ty, co dłoń mą chwytasz  
I myśli moje mroczysz wzrokiem,  
I ciszę nocną budzisz wiecznie  
Upartym ostrzeżenia krokiem.

Przestań mnie ścigać — nie chcę Ciebie!  
Zza każdej rzeczy, jak zza ściany  
Twój wzrok i głos Twój przeraźliwy,  
Który przekreślić chce me plany.

Z każdego drzewa tysiąc dłoni  
Wyciągasz liściem — z każdej drogi  
Wymurza się Twój cień uparty  
I chce pobratać mnie z swym wrogiem.

Każdy wiatr Twym przesycasz dechem,  
Każdy cień Twym wyciągasz gestem  
I każdej nocy wołasz w gwiazdach,  
I w blasku mgławic: Jestem, Jestem!

Zagaś te gwiazdy — Chcę ciemności!  
Ucisż te wiatry — Pragnę ciszy!  
Opuść te drzewa, odrzuć cienie —  
Niech Cię nie widzę i nie słyszę.

Uparty Siewco z Galilei,  
Zostaw mnie — Nie chcę Twego głosu.  
Ty jesteś ładem, a ja pragnę  
Chaosu!

IV.

Nie słuchasz mnie. I wszystkie pola  
Zmieniłeś w czyste wargi Twoje.  
Znam, znam ten głos. I szumu trawy  
Słucham jak Ciebie z niepokojem.

Idę — przede mną ścieżka złotem  
Pochwałę Twoich słów ogłasza  
I wszystkie rzeczy patrzą z trwogą  
W twarz moją — mściwą twarz  
[Judasza.

Ten kamień spojrzal tak surowo,  
Jakby miał żywe Sędzi oczy —  
Na widnokregu las sosnowo  
Jak apostołów głos się mroczy.

Jakbym nie polem szedł, lecz krążył  
Po czystym Ewangelii Kraju —  
Drzewa milionem warg Twą prawdę  
I upomnienie ogłaszają.

Judaszem idę. Drżą me kroki  
I groza mrokiem ścina oko —  
Niebo nade mną — Sądu słowo!  
Ziemia pode mną — głos wyroku.

V.

Kim jestem? Jestem tym, co idzie  
Przez pola przerażony sobą  
I słucha głosu apostołów,  
Patrząc w daleki las sosnowy.

I jestem tym, który daleko  
W nieznanym mieście błądzi teraz  
I tym, co stanął ponad rzeką —  
I tym, co w tłumie się przedziera.

I tym, co w auto siadł ze śmiechem  
I tym, co w polu książkę czyta  
I tym, co żegna się na dworcu  
I tym, który o drogę pyta.

I tym, co nigdy się nie dowie,  
Że o nim mówi moje słowo —  
I Tobą jestem, Czytelniku —  
Wierz mi — Judaszu — jestem Tobą.

Bracie Judaszu! Drżą me kroki  
I groza mrokiem ścina oko —  
Niebo nad nami — Sądu słowo!  
Ziemia pod nami — głos wyroku!

WOJCIECH BĄK

## SPRAWY BOSKIE I POLSKIE

(Ciąg dalszy ze str. 1-szej.)

stycznej. Właściwie prawie już nie grzeszy, przynajmniej w rozumieniu naszego, codziennego rachunku sumienia. Dochodzi do bezpośredniego obcowania z Bogiem i świętymi. Dochodzi do umartwień i biczowania (dla czego tylko biczuje się łań cuchem, jak w powieści Bernanos „Pod słońcem szatana“?). Jego grzechy, to subtelności stosunku do matki, to chwilowe, niedostrzegalne zaniedbania w pracy duszpasterskiej, to wreszcie brak przeżycia problemu ojczyzny.

W skali naszego przyzwyczajenia są to rzeczy minimalne. Można jednak uwierzyć autorowi, że dla jednostki na tym poziomie życia wewnętrznego, obdarzonej do tego wyjątkowymi łaskami stanowią przedmiot, spowiedzi. O to nikt z katolików nie może mieć do Grabskiego pretensji. Nawet czytelnik

nie wierzący odczuje prawdę i uczciwość stanowiska autora. Wrażenie jednak jakiegoś zwężenia prawdopodobieństwa pozostaje. Cemu?

Sadok ani przez chwilę nie jest sam. Rozmawia z nim św. Teresa, w obozie prowadzi Inga, w walkach wewnętrznych bierze bezpośredni udział szatan. Szatana zresztą Sadok odczuwa natychmiast. Książę ciemności występuje jasnie. To przecież także ułatwia pracę. Ostatecznie istotą przewrotności szatana jest to, że potrafi działać nawet przez ludzi dobrych. Jeśli występuje je otwarcie sytuacja jest ułatwiona.

Tych ułatwień Sadok ma zbyt dużo. A przecież właśnie mistyki kanonizowani przechodzili przez najcięższe niepowodzenia życiowe, a w życiu wewnętrznym przez „nocce ciemności“. Sadok ich prawie

nie ma. I dlatego jest nieprzekonywujący. Dlatego nieprzekonywująca jest wianowska parafia. Tu właśnie popełnił Grabski błąd i to bodaj błąd koncepcyjny. Powodzenie doczesne, nawet jeśli dotyczy spraw bożych nie jest zwykle udziałem wybrańców. Jeśli spotykamy je w powieści — powstaje wrażenie nieprawdziwości.

Tu jednak trzeba oddać Grabskiemu sprawiedliwość. Ani przez chwilę nie sugeruje, że taki los będzie udziałem każdego, kto pójdzie w ślady Sadoka. Książę wianowski jest postacią wyjątkową i dzieje jego nie stanowią wypadku typowego. Nawet przeciwnie. Cała atmosfera, łącznie z odwoływaniem się do przeszłości Sadoka w pierwszej części powieści mówi o jego nadzwyczajnych dziejach, o specjalnej Łasce i specjalnym powołaniu. To jednak

maci realizm powieści i zmusza do dystansu, który w pierwszych rozdziałach niemal nie istnieje. Stano wi stratą dla czytelnika. No, a auto ra zmusza do następnego konwencjonalnego, zagubienia czasu potrzebne go dla poprawy zaniedbanej parafii. W konsekwencji, na doskonale zapowiadającym się dziele powstaje rysa.

### POWIEŚĆ

„REALIZMU KATOLICKIEGO“

Ta rysa nie jest błahą. Nie pozwala traktować „Konfesjonali“, jako powieści realistycznej. Czy jest to strata? W konkretnym wypadku na pewno tak.

Zagadnienie realizmu mimo wielokrotnych na ten temat dyskusji, nie zostało wyczerpane. Ostatecznie najbardziej przekonujący jest pogląd, że o realizmie mówić można wówczas, gdy fikcja literacka nie narusza naszego poczucia prawdopodobieństwa w stosunku do rzeczy wistych poza literackiej. Przy ta-

kim sformułowaniu problemem po zostaje widzenie rzeczywistości poza literackiej, zespół spraw z zakresu teorii poznania a nawet ontologii.

Nie wdając się w szczegóły tych skomplikowanych zagadnień jedno przecież można zaznaczyć. Dla ka tolika świat, który jest miernikiem fikcji literackiej, istnieje równie konkretnie w sferze dostępnej bez pośredniemu poznaniu zmysłowe mu, jak i w sferze metafizycznej. Mówiąc trywialnie Bóg istnieje równie realnie jak stół czy glob ziemski (choć w obu wypadkach, mamy do czynienia z zupełnie różnym rodzajem bytów). Otóż na tym chyba nie można mówić o jakimś „realizmie katolickim“.

Osobiście nie lubię takiego stawiania sprawy. Pojęcia z zakresu dyscyplin naukowych rzadko wychodzą dobrze na tym, gdy podporządkowuje się je, lub nawet tylko zestawia z teologią. Jeśli jednak w tej chwili i na jej jedynie użytek

tworzę podobne zastawienie, chodzi mi o uprzedzenie pewnego typu przypuszczalnych ataków na Grabskiego.

Gdyby nie poruszana poprzednio sprawa Sadoka „Konfesjonal“ zasługiwałaby na miano tak rozumianej powieści realistycznej. Realistycznej po katolicku. A do tego, przy wartościach w zakresie obrazu społeczeństwa, przy nieprzeciętnych zaletach artystycznych książki była by to (no i mimo tych zastrzeżeń jeszcze w dużym stopniu pozostaje) jedna z najprawdziwszych książek o ostatnich chwilach minionego dwudziestolecia.

Dla katolików zaś spotęgowała by się także jej wartość wychowawcza. Pierwotna sugestia zbliżenia świętości pozostałaby w mocy, bez uszczerbku. Nawet mistycyzm nie oddaliłby się na dystans, który powstaje w miarę czytania. Dlatego właśnie kwestia realizmu jest mimo wszystko istotna.

#### KSZTAŁT ZEWNĘTRZNY

Dotychczasowe uwagi o „Konfesjonal“ oparte były przede wszystkim na pierwszym tomie powieści. Nie jest to przypadek. Tom drugi jest nieco słabszy, a ostatnia jego część budzi nawet poważniejsze za-

strzeżenia. Zwłaszcza nie przekonująca jest wymieniona poprzednio bezpośrednia interwencja Ingi. Te wady, które zarzucaliśmy Grabskiemu poprzednio tu właśnie skoncentrowały się jakoś nieprzyjemnie i osłabiają ostateczny efekt, tej tak w gruncie rzeczy ciekawej książki.

Ma przecież ona walne zalety. Przede wszystkim należy wymienić doskonałą narrację i bardzo przejrzystą kompozycję. Można by niemal graficznie wykreślić jak wątki losów poszczególnych postaci splatają się i łączą wokół postaci centralnej, jak wszystkie są potrzebne i celowo przeprowadzone. Jeśli co

je mać, to temperament polemiczny Grabskiego, który nie oparł się miejscami pokusie rezonerstwa, a także wymieniana już poprzednio zbyt szybka przemiana osób. W płaszczyźnie jednak spraw kompozycji są to jedynie bardzo mało znaczące usterki okupione tak wieloma zaletami.

#### O CZYM NALEŻY PAMIĘTAĆ

W ogólnej konsekwencji książka Grabskiego jest pozycją w literaturze katolickiej i w literaturze polskiej w ogóle. Istotny jest zwłaszcza głęboki nurt humanizmu i niespytykany przy omawianiu problematyki wojennej i ideowej, stosu-

nek do człowieka. Grabski ani przez chwilę nie jest zacietrzewiony. Nawet najbardziej zły, nawet najzaciętsi przeciwnicy godni są miłości, choć nie pobożania. To zaś jest wartością w literaturze powojennej zupełnie wyjątkową. Proszę po równać jakim językiem operuje twórczość ostatnich lat w sprawach nieporównanie bliższych. Proszę po równać, jak wygląda przeciętny stosunek do ciemnych postaci u autorów nowowydawanych książek. I proszę dostrzec różnicę.

Tej wartości powieści Grabskiego nie i nikt nie odbierze.

Mieczysław Kurzyna

Zygmunt Jakimiak

## POWSTAJE RODZINA

Tak się najczęściej składa, że pan młody, choćby miał 50 lat, nie ma pojęcia, czym jest małżeństwo choć by przeczytał na ten temat całą literaturę fantastyczną i naukową. Tak samo panna. Małżeństwo, powiadają ludzie, jest loterią, i jest w tym banale trochę prawdy, z tym zastrzeżeniem, że jest to loteria o tyle osobliwa, że wygrywa na niej każdy absolutnie los. Mało tego, każdy los jest największą wygraną. Emocja i dreszcz są podobne, jak przy losowaniu.

Ale nie na tym koniec. Emocja nie jest przelotna, ale dożywnia. Małżeństwo jest więcej, niż loteria. Jest ono, jak zauważył Chesterton, pojedynkiem. Jest ono jeszcze przymierzem zaczepno-odpornym, skierowanym przeciwko całemu światu, zakładem wychowawczym itp. Można by znaleźć wiele nazw, w każdym razie jest czynny skomplikowany, trudny i czynny całkowicie nieznanym.

Człowiek wstępujący po raz pierwszy w związku małżeńskie podejmuje się trudniejszego zadania, niż gdyby miał bez żadnego przygotowania wstąpić do szkoły, albo kierować fabryką narzędzi chemicznych. Sama chęć, czy zamiłowanie, nie wystarcza. Miłość, to jeszcze mało. Potrzeba głównie rozsądku i woli, bo chęć i najsilniejsza szybko ustępuje odradzie. A jakże oczekiwać rozsądku, doświadczenia od młodych? Jakże można zostawić im całkowitą swobodę rozbić się po kilku tygodniach, czy miesiącach? I otóż tu powaga rodziców, ich rada, często nakaz a przynajmniej prośba okazują się pożądanymi i niezastąpionymi. Zdaje się, że będziemy musieli zrezygnować z buntu młodych.

Tak więc w małżeństwie rozróżniamy dwa główne elementy: siłę, żywość, który nazywam miłością i formę, czyli umowę — ślub. Wyjaśnię teraz, jak rozumiem, zgodnie z duchem Kościoła katolickiego, miłość. Bo często się zarzuca, że w małżeństwach z rozsądku nie może być miłości i jak takie małżeństwo

może dać zadowolenie. Ktokolwiek zaś czyta niniejszą próbę, już zapewne zauważył, że jestem zwolennikiem takiego właśnie małżeństwa. Otóż nie ma najmniejszej obawy. Póki człowiek żyje, póty ma w sobie dostateczną ilość energii miłosnej, którą w znacznej mierze może dowolnie kierować, często przy woli i oporach, zwłaszcza z początku. I ta właśnie miłość opanowana, poddana woli i rozumowi, jest największą wartością i daje najpełniejsze i co najważniejsze — ciągle zadowolenie.

Kochać tego, kto się podoba tak długo, póki się podoba, nie jest żadną sztuką. Ale kochać tego, kogo się powinno — oto dopiero miłość godna człowieka wyższego. Do tego właśnie sprowadza się miłość małżeńska — do woli miłowania, a tę może przysiąść i dotrzymać każdy mężczyzna i kobieta, choć dotrzymywanie rzeczywiście jest cnotą heroiczną.

Niech się nikt nie ludzi co do trwałości piromienia, jaki nazywa się szumnie „miłością“, który jest tylko pożądaniem — duchowym i cielesnym. Miłość jest czymś innym niż pożądanie. Miłość jest wieczną, niezmienną, wierną, gotową służyć osobie kochanej. Trzeba służyć całym sobą, ciałem, rozumem, duszą, sercem i wszystkimi zdolnościami.

O tym najczęściej nie pamiętają dzisiejsi nowożeńcy i to odkrycie jest dla nich przykrym rozczarowaniem po miodowym miesiącu. Trzeba się siebie zaprzeć, robić to do czego nie ma się chęci, zamknąć oczy na czyhające zewsząd pokusy, i służyć osobie, do której czuje się czasem odradzie. To właśnie jest prawdziwa miłość i do tego trzeba być gotowym przy wstępowaniu w związek małżeński.

Małżeństwo wymaga od małżonków bohaterstwa. I dlatego warto je zawierać. Cała poezja pozycji małżonka leży nie w uniesieniach miłosnych, nie w zachwytach i ekstazach — to są raczej zachęty i rzadkie chwile nagrody — poezja małżeństwa leży właśnie w aktach cnoty. W walkach ciężkich i zwycięskich z samym sobą, ze światem, z pokusami, w trudzie organizowania, rozwijania, trwania, wierności sobie i drugiej stronie. Dopiero wtedy człowiek czuje, że żyje.

Mówię już teraz wyraźnie, że najlepsze jest małżeństwo z rozsądku. Zaraz jednak spieszę dodać, że pierwszym aktem rozsądku w tym wypadku będzie małżeństwo z miłości, w tym banalnym, zwykłym znaczeniu. Oczywiście nikt, kto ma trochę oleju w głowie nie będzie się wiązał na całe życie z osobą, do której czuje zdecydowaną odradzie fizyczną. Ale uważam, że to i

wszystko. Jeśli się czuje minimum sympatii i pociągu, to wystarcza na początek. I tu nie można być nigdy pewnym reakcji uczuciowej. Często gwałtowna miłość zmienia się we wstręt i odwrotnie.

Przypomina mi się w tym miejscu pewna nowelka Norwida, w której jest mowa o gwałtownej miłości pewnego młodzieńca do pięknej Podolanki. Póki na nią patrzył, póty był w ekstazie. Gdy jednak próbował szeptać w towarzystwie, a ona mu odszepnęła na cały salon, ba, na cały dom — taki już miała nieumiarkowany głos — wówczas biedak doznał nagłego zwrotu w swych uczuciach.

Tu muszę wtrącić parę uwag. Wiem, że niniejszy szkic może wywołać u czytelników i krytyków wiele niezrozumienia i co gorsza — złej woli. Nie wielu zechce te rzeczy brać tak prosto i naturalnie, jak się przedstawiają. Będą je odbijać karykaturalnie i groteskowo w opaczny, wykrzywiony zwierciadło swej interpretacji. Oczywiście nie dbam o nich, bo należą do tych, którzy się nie liczą. Tylko głupcy kpią z rzeczy wielkich i prawdziwych, ale to nie jest powód, aby o nich nie pisać. Małżeństwo, wybór żony są rzeczami właściwie podstawowymi i trzeba o nich pisać rzeczowo, jeśli się chce być w jakimś stopniu pożytecznym.

Przez sprawdzenie swej sympatii do osoby płci odmiennej nie rozumiem bynajmniej czegoś w rodzaju „małżeństwa na próbę“. Taka próba bowiem daje wyniki wyłącznie ujemne. Abstrahując od wszelkich zniszczeń moralnych, które są nieuniknionym jej następstwem, należy stwierdzić prawo psychologiczne, że zbyt daleko idące zbliżenie fizyczne poza małżeńskie wywołuje odradzie, jeśli nie fizyczną, to moralną do drugiej zainteresowanej osoby, uczucie pogardy, lekceważenia, pomiatania.

Do małżeństwa dobrego koniec na jest czystość, jeśli nie absolutna, to przynajmniej czystość w stosunku do kandydata, czy kandydatki na połówce. Małżeństwo może być dobre, oparte na wzajemnym szacunku, tylko pod warunkiem zachowania czystości przedślubnej. Jeśli więc ktoś pragnie się zenić z rozsądku, powinien sprawdzić po prostu reakcję uczuciową.

Oczywiście, że brak odradzie jest tylko minimum rozsądnego małżeństwa. Im więcej miłości, tym małżeństwo rozsądniejsze. Miłość przedślubna jest bowiem tą siłą początkową, która po ślubie, po rozpoczęciu współżycia pełnego i realnego będzie się potęgować i uszlachetniać z dnia na dzień. Im zatem więcej uczucia na początku, tym więcej będzie go w małżeństwie.

Młodzież powinna się „kochać“ i to w najbardziej idealnym, roman-

tycznym znaczeniu. Im większy idealizm w miłości, tym lepsze będą domy, jakie z takiego małżeństwa powstaną. Należy się kochać z wierzeniami, kwiatami i wszystkimi arcyzabawnymi a jednak głęboko wzruszającymi głupstwami, jakie każdy z nas popełniał we wczesnej młodości, a jakie tak znakomicie umiał odtwarzać Dickens, czy Prus.

A coś mi się wydaje, że z tą sprawą jest dziś niedobrze wśród młodzieży. Oczywiście trudno mi wyrokować o każdym indywidualnym wypadku, bo go nie znam. Zachowanie się młodzieży dużo zostawia do życzenia. Również nie może być argumentem, bo należałoby jeszcze wiedzieć o zachowaniu się, którego się nie widzi.

Jako źródło badania pozostaje literatura, która jest przecież jakimś odbiciem życia. Któż z poetów choćby najmłodszych pisze dziś czarujące świeżością uczucia erotyki. Najczęściej mamy tylko na puszoną i pustą retorykę, pozę, siłenie się na oryginalność, z czego wychodzi cudactwo, cennie przez kierowników literackich czasopism, ale natchnionej, zdrowej, naturalnej, najsłodszej poezji erotycznej nie ma.

Zanik uczucia naturalnego jest śmiercią poezji. Istotą sztuki jest wzruszenie i mniejsza o jego mniej lub więcej banalny wyraz. Lepszy banał, niż cudactwo. Zresztą w wypadku prawdy uczuciowej nigdy nie będzie banału.

A w powieści i w noweli. — Ma my tylko demagogiczną pornografię, degenerację dawnego romansu. Powieść nasza zadziwia kulturalnych pogan, jak np.: Japończyków. Po co pisać tyle o kobiecie i miłości? — A przecież temat ten tak pełen poezji, jest ważny tylko ze względu na wielkość, poezję, ryzyko odpowiedzialności, wagę chrześcijańskiego małżeństwa. Dziś w literaturze mamy smutną, niedorzeczną, jak każda reszka, pozostałość seksualizmu, który w małżeństwie ma tylko drugorzędą rolę. Pierwszą bowiem ma osoba. Dziś więc miłość młodzieńcza wydaje mi się małą, płytka, powierzchowna.

Ale trudno. I z tego może powstać dobra miłość małżeńska. Małżeństwo jest bowiem zupełnie nowym życiem, szkołą w której się można zmienić, rozwinąć, uszlachetnić. Zresztą i najlepsza i najpiękniejsza miłość rzadko kiedy, prawie nigdy nie prowadzi do ołtarza. I to jest dobrze.

Miłość szalona, bałwochwalcza, całkowita i absolutna należy się tylko Bogu. Człowiek nie ma do niej prawa ani biernego, ani czynnego, jeśli ma pozostać żywy i twórczy. W razie zajścia takiego wypadku przedmiot miłości staje się bałwanem, a podmiot — bałwochwal-

cą, sama zaś miłość karykaturą prawdziwej miłości ludzkiej. To też miłość tzw. wielka, jedyna, przez którą każdy człowiek przechodzi, jest na ogół jak to się mówi, nieszczęśliwa. Każdy z nas miał, albo będzie miał istotę najdroższą, dla której oddałby wszystko, wraz z honorem i godnością. I całe to szczęście, że ofiara jego została nie przyjęta.

Nieszczęśliwa miłość jest najlepszą, po domu, szkołą charakteru. Dopiero w trakcie jej cierpień, czołowiek zaczyna samodzielnie myśleć, zdrowo, głęboko czuć. Rozszerza się poza swój egoizm, zaczyna rozumieć świat i innych ludzi, słowem dopiero wtedy staje się czołowiekiem. Złamane serce — termin ten jest nadzwyczaj szczęśliwy, choć niewielu to spostrzeża. Ciężkie, płytkie, egoistyczne serce musi być złamane, bo jak inaczej może się rozszerzyć, pogłębić? Zresztą nie byłoby sztuką poświęcić się osobie pożądanej i wybranej, choć i tej sztuki rzadko kto dokazuje w wypadku szczęśliwej miłości. Człowiek powinien być w stanie poświęcić się każdej osobie. Tak więc dobrze jest, że ogół małżeństw docho- dzi do skutku nie z powodu zasklepienia i egoistycznego uporu, ale z powodu świadomego, rozsądnego wyboru — decyzji woli. Do tego się sprowadza bowiem ostateczny prawie każdy wypadek małżeństwa. Trzeba wybierać. Człowiek tęskniący do domu spotyka tysiące kobiet, między którymi musi wybrać. Jakich rad, jakich wskazówek mu udzielić i jak mu pomóc.

Trudna to sprawa. Pewien mój przyjaciel dał mi kiedyś taką radę: „radz się wszystkich, a nie słuchaj nikogo“.

Reguły tej przestrzega każdy człowiek. Szczególnie młody. Radzenie więc wszelkie jest równie potrzebne jak beznadziejne. Dlatego pełna analiza zagadnienia może być pożyteczna i ułatwi powzięcie konkretnej decyzji niejednemu czołowiekowi.

Zygmunt Jakimiak

Nowość Nowość

EWANGELIE  
I  
DZIEJE APOSTOLSKIE

przeład i komentarz  
Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego  
Cena zł. 250  
Albertinum  
Warszawa — Poznań — Lublin

W najbliższych tygodniach  
ukaze się  
nowe wydanie powieści

Jana Dobraczyńskiego

„W ROZWALONYM  
DOMU,“

z ilustracjami

Alojzego Krakowskiego

Jerzy B. Rychliński

## PAMIĘTNIK HANNIBALA

„Mnie, Hannibalowi Barca, wczynie otworzyły się oczy na moją wielką wartość. Kiedy nie miałem jeszcze dziesięciu lat i byłem wysokością punickiego miecza, ojciec mój, Hamilkar, Hetman Morza Republiki Kartagińskiej, dał za mnie wykupu dwieście talentów“ (numerycznej wartości przeszło trzy miliony przedwojennych dolarów — przyp. autora). „Scena tego targu na całe życie wrażyła mi się w pamięć, choć całokształt zrozumienie jej przyszło daleko później“.

„Siedziałem u stóp mego ojca na rufie jego wspaniałej i jedynej podówczas triremy, ocalałej z pogromu floty kartagińskiej pod Eknomos. Obleczone mnie dla niepoznaki w niewolniczą oponę i tylko złota strzała, którą miałem spięte kędzierzawo“ (czyt. wełniste — przyp. aut.) „Włosy, znamionowała kim jestem“.

„Galera admirałska stała po śród ku wojennego portu Kartaginy, krągłego jak sztuczne jezioro, i po przez przejrzyste wody widać było mozaikowane dno. Tu ukrywał mnie ojciec. Wiedziałem, że nad mą głową wisi śmiertelne niebezpieczeństwo, nie tyle ze strony oblegających w tym czasie Miasto Najemników, co własnych rodaków“ (Moja o wielkim buncie zaciężnych wojsk kartagińskich, których starysiedzienna armia, nieopłacona przez Kartaginę, wojowała od 238 do 240 roku przed N. Chr. z tą republiką i oblegała starożytną metropolię — przyp. aut.).

„Właśnie było po najgwałtowniejszym szturmie Najemników, od partym tylko dzięki pomysłowi ojca. Użył on ostatku wody z cysterny do zniszczenia nieprzyjacielskich machin obłączonych. Akwedukt, do prowadzący wodę słodką do Miasta, dawno został przerwany. Biedacy już dawno marli w mękach pragnienia. Bogacze kupowali wodę na wagę złota. Ale mój ojciec resztą jej odparł szturm, skierowując strumień z cysterny pod machiny wroga, które ugrzęzły i rozpadły się“.

„Widmo śmierci wychylało się z dymów pożarnych i fetoru rozkładających się na upale trupów. Ojciec wpadł do swej morskiej twierdzy jak w ucieczce. Nawet w takiej obieży był wspaniały. Zrzucił hełm i pancerz. Po krogulczej twarzy, po torsie z odciśniętymi od pancerza pasami i żyłastych nogach pot sączył się strugami aż na pokład rufy. A choć oczy miał zapadłe, jaryły mu się jak węgle. Jego mocny kark, jak z brązu, ani na cal się nie ugiął. Wszyscy dyszeliśmy ciężko. Pomyśl! Wystaw sobie: nawet Nam brakowało wody do picia!“

„Pod zachód słońca zameldowano Shalaahizima, arcykapłana świątyni Eshmuna“ (A trzeba wiedzieć, iż było czterech arcykapłanów, bo Kartagina wyznawała czterech bogów: Baala in. Molocha, Khamona geniusza Miasta, Taanit — boga nie księżycy i Eshmuna — boga nauk i sztuk — przyp. aut.).

„Arcykapłan wszedł, podtrzymywany przez dwóch kleryków. Był

to opasły Chanaaneńczyk o twarzy obwisłej, po której blaski zachodu, przesiane przez niebieską purpurę zasłon, i refleksy jego hiacyntowej szaty igrały jak palce śmierci“.

„— Pozdrowienie! — wykrztusił, dysząc astmatycznie. — Błogosławieństwo tobie Oko Khamona! Światło Baalów! Władco Morza!“

„— Witaj Proroku Niebiańskich Inteligencji! — przerwał mu ochrypłym od komend głosem mój ojciec i uczynił giest, zapraszający do zajęcia miejsca w hebanowym karle. Klasnął w dłonie. Wpadł niewolnik z amforą winą“.

„Ale kapłani odmówili wina. Najmłodszy z nich wyciągnął spod płaszcza tykwę i nalał do złotych kubków wody. Wody! Kiedy ojciec nie chciał tknąć napoju, bojąc się trucizny, Shalaahizim wypił kubek dla przykładu“.

„W rysach arcykapłana malowała się charakterystyczna dla naszej sfery dystygowana przebiegłość“ (czyt. wyniosła i brutalna chytryść — przyp. aut.). „Ale wiedziałem, iż kapłaństwo Eshmuna było Nam, rodowi Barca, przychylnie“.

„— Skąd macie wodę? — zachłysnął się mój ojciec.“

„— Eshmuna nam daje — odrzekł arcykapłan, dodawszy chytrze: — Nawet dla sług świątyni nie starczy. Czynimy ją z mgły“.

„Potem przekonałem się. Rzeczywiście dym gorzkiej wody skrapla się w wodę słodką, bez smaku. Kapłani Eshmuna to najmędrsi ludzie swego stanu. Opasły łysy arcykapłan przypominał chirurga“.

„— Z czym przybywasz Shalaahizim? — rzucił ojciec, ugasiwszy pragnienie.“

„— Z tajemnicą... która jest duszą interesów, Barca!“

„Przestali się tytułować, co oznaczało, że mówią poufnie. Wszyscy odbiegli od nas w mgnieniu oka, nawet klerycy. Ja zostałem. Na pewno arcykapłan wiedział kim jestem. I zaczęła się kunsztowna rozmowa, którą dopiero później doceniłem w pełni“.

„— Chcesz mi sprzedać tajemnicę — wyszeptał spieczonymi ustami mój ojciec. — Skąd wiem, ile warta?“

„— Dla ciebie, Hamilkar, warta przyszłość twego rodu — odparł arcykapłan ze znaczącym skinieniem ku mnie“.

„Ojciec utrącił. — A dla ciebie? — spytał, utajwszy dech“.

„Shalaahizim nie odpowiedział wprost. — Wiedz, Barca, że kolegium kapłańskie Eshmuna pożyczyci swej kolonii na Wyspie Brytów... znaczną sumę, ale jej nie wypłaciło wskutek buntu Najemników. A teraz... przybyła galera z Cynowego Grodu, który Rzymianie zwą Londinium...“

„— Przybyła? Gdzie przybyła?... Gdzie mogła zawinąć? — wybuchnął ojciec. — Toć wejścia do portu Najemnicy przecięli długą tratwą“.

„— Krąży na pełnym morzu. Na trzy palce w prawo od ręki Eshmuna. — Z tymi słowy arcykapłan do był z zanadru metalowy posążek boga, zawieszony na jedwabnym

sznurku. Gdy ruch obrotowy posażka ustał, przekonałem się, że bóg wskazuje prawicą ku gwiazdzie polarniej“.

„— Tak przypuszczasz, starcze? — wykrzyknął wyciężonym szeptem Hamilkar, mój ojciec. — Oddam moją ostatnią galerę na wywiezienie waszych skarbów!... Za żadną cenę! To ostatnia ucieczka dla Nas. Dla mego syna“.

„— Nie oddałbyś, wiem, Barca — brzmiała odpowiedź — póki nie było tej brytyjskiej galery na morzu. Ty masz także do wywiezienia swój skarb. A nasze kolegium na Wyspie Brytów przyjmie go w depozyt i zwróci na twe żądanie — Tu arcykapłan zaklął się uroczyście na swego boga, iż mówi czystą prawdę. — Twoja galera przebieje się przez tę nędną tratwę, wypłynie, spotka Brytyjczyków, odda im nasz skarb i tę twoją nadzieję. — Znów skinienie w moją stronę. — I cóż jej przeszkodzi powrócić do ciebie, Barca?“

„— Po co mi to? — zaperzył się mój ojciec. — Tu w porcie Hannibalowi nic nie grozi. Tu nie sięgną szpony kapłanów, ani Senatu Seniorów. Tu Władca Morza jest królem...“

„Shalaahizim tłumil zjadliwy śmiech. Podbródek mu się trząsł jakby kapął gorczyką. — Ty wiesz, Barca, co mu grozi...“

„— O niczym nie chcę wiedzieć — frenetycznie zamachał rękoma mój ojciec. Ledwie panował nad sobą“.

„— Toć wiesz, że lud szaleje — zasyczał kapłan. — Wytoczyłeś do cna wodę, a od miesięcy ani kropli deszczu...“

„Mój ojciec podniósł ręce do uszu jakby chciał je sobie zatkać“.

„— To robota fanatyków Baala. Molocha Pożerczego. Podjudzili lud do szału. Dla ułagania Baala o deszcz żądają całopalenia wszystkich synów pierworodnych, a przede wszystkim synów Bogaczy. A Bogacze gotowi się zgodzić, jedni ze strachu, drudzy ze złości. Swoje

dzieci gotowi poświęcić, byle zginął twój syn. Tak cię nienawidzą za to, żeś stanął w obronie ludu...“

„Syk kapłana przejął mnie dreszczem. Spalenie żywcem! Teraz wiedziałem co mi grozi“.

„— Nie obronisz go, Barca! Bo, jeśli oszalały lud rzuci się na port, wedrą się Barbarzyńcy. Wyślij go, póki Kolegia Kapłańska i Senat Seniorów nie powezmą uchwały. Ubiec ich, jedyny ratunek“.

„Mój ojciec, Hamilkar, jęknął, ale oprzytomniał w mgnieniu oka i spytał po kupiecku:

„— Ile wartuje wasz skarb, który wysyłacie?“

„— Tysiąc talentów...“

(Była to zawrotna suma, zważywszy, iż cała Kartagina po pierwszej wojnie punickiej zapłaciła Rzymianom 3.200 talentów kontrybucji — przyp. aut.).

„— Ale pięta część tego skarbu — mój ojciec parwał się gwałtownie — należy do państwa, bo to wasza danina na zbrojenia. Kto pokryje deficyt?... Ja! Ja, który dałem sam tyle, co Kompania Kości Słoniowej. Żądasz dwustu talentów!“

„Zrozumiałem, że dwieście talentów to była cena, jaką kapłani żądali za moje życie“.

„— Zwolnisz je, Barca! — rzucił twardo Shalaahizim. — Twój jedyny syn wart dwustu talentów“.

„Ojciec mój skłonił głowę na pierś. Zastanawiał się. Rzekł wreszcie: — Ostroga mojej triremy przeboła już niejednym pysznym okrętem, rozmiemie i tę wątłą tratwę Barbarzyńców, ale... ale co będzie, jeżeli spotkają na morzu rzymską kwinkweremę? Rzymianie mają i takie galery o pięciu rzędach wiosel“.

„— Rzymianie — brzmiała odpowiedź — nie napadną teraz kartagińskiego okrętu. — Rzym nie wspomóż Najemników. Zawarł z nami traktat...“

„Hamilkar się skrzywił. — Starcze! Toć ich rzymska dobra wiara nie jest lepsza od naszej punickiej. Gorzej temu kto Rzymowi zawierzył!“

„— Ale Rzym — odpowiedział Shalaahizim — wie, co przyniosłoby Rzymowi zwycięstwo Najemników nad Kartaginą: bunt wszystkich nie wolników jak świat szeroki i długi. Runąłby Rzym, pogrzebał się sam pod gruzami Kartaginy.“

„— Zaisze, mądry jesteś, starcze!“

„Kiedy najbledszy rumieniec zapalił niebo, trirema admirałska, załadowana po luki kosztownościami świątyni Eshmuna, ruszyła z wojennego portu. Mnie, zmorzonego snem chłopca, rozbudził takt, wybijany spżowym młotem na kowadle“.

„Jak bicie ogromnego serca, grzmiało kowadło dozorczy galerników ze śródokręcia. Trzy rzędy długich wiosel miarowo do taktu zagarniały wodę. Powstawała poranna morka i pod skrzyp kołowrotów wjechał na maszt ogromny prosty żagiel. Wydał się jak bania“.

„Rozwarły się ogromne wrota, odgradzące port wojenny od handlowego. O brzasku mknęliśmy jak drapieżny upiór ku wąskiej tratwie Barbarzyńców. Kapitan powiedział mi, że szybkość nasza przewyższa pięć węzłów. Aż wrzała piana pod zaróżowionymi piórami wiosel“.

„Łomot. Trzask. Krzyki i wycia pobudzonych z głębokiego snu nie przyjadł wnet pozostały za nami. Dziobaliśmy już fale“.

„Byłem wolny. Powróciłem dopiero po wytraceniu przez Hamilkara, mego ojca, tych barbarzyńskich wszarzy“.

„Iżże uszedłem z paszczy Baala, wrogowie nasi zwali mnie odtąd Hańbą Baala. Z lubością obracali w mlaskających gębach ten kalambur: Hannibal — Hańbą Baala. Raczej jego chwala. Zali nie opłaciło mu się wtedy wyrzec jednego dziecka? Zali nie przyniosło mu to lichwiarskich procentów? Wskaż mi tego, który więcej ode mnie, Hannibala Barca, wrzucił ofiar w ognistą gardziel Molocha Pożerczego“.

J. B. Rychliński

## Wędrowniki po scenach polskich

## „Fantazy“ w Teatrze Polskim

Byłoby bardzo interesujące, gdyby któryś z szanownych szperaczy zechciał zestawić dzieła wędrowniki dramatów Słowackiego po scenach polskich. Boję się, że bilans taki wypadłby dość zenująco dla kierowników naszych scen. Mówić o Słowackim, że wieszcz, że wspaniały artysta, że świetny dramaturg — owszem można, ale grać? — po co? znacznie łatwiej i zdrowiej dla kasy, gdy reperuar naszpikuje się „Porwaniami Sabineki“. Trzeba jakiegoś jubileuszu. Jakiejś rocznicy, by utwory Słowackiego doczekały się odgrzebania z kurzu bibliotek teatralnych.

Bardzo trudno mówić o tym, nieprzyjemnie wypominać i przekonywać.

Szyfman wybrał na jubileusz swój i swojego teatru „Fantazego“. Intencje były na pewno szlachetne. Skończyło się jednak na tym, że wszyscy honorowani i chwaleńcy krytycy po wyjściu z premiery pisali raczej o Szyfmanie, raczej o Teatrze Polskim, niż o Słowackim, niż o „Fantazym“. Zjawisko to do pewnego stopnia jest zrozumiałe. Najbliższy jubileusz Szyfmana obchodzić będziemy dopiero za lat dziesięć „Fantazego“ może zobaczymy znowu za osiem, za dziewięć... Tym niemniej jednak, wydaje mi się, iż wznowienie pracy teatru po letniej przerwie, wznowienie właśnie między innymi „Fantazego“, powinno dać okazję do wypowiedzi na temat samej sztuki. Jest o czym — „Fantazy“ stanowi arcydzieło naszej dramaturgii.

Podobno tytuł tego utworu dopisany został na rękopisie obcą ręką.

Chrzest nie wypadł szczególnie, choć, przynajmniej to trzeba, że o dobry, naprawdę odpowiedni tytuł, byłoby to bardzo trudno. Utwór zawiera właściwie dwie, zupełnie różne, a tylko osobami i wspólnym wątkiem treściowym związane części. Pierwsza z nich obejmuje cztery akty, a druga, akt piąty, ostatni.

Część pierwsza mogłaby od biedy zostać pod nazwą „Fantazy“, można by, z mniejszą słusznością, przyjąć dla niej dzisiejszy podtytuł „Nowa Dejanira“, ale najbardziej odpowiednim byłby tu tytuł inny, dziś już zapomniany, nieużywany: „Niepoprawni“. Akt piąty, w tym rozgraniczeniu, otrzymałby nazwę: Major Hawryłowicz.

Ucieszenie to wygląda, kiedy krytycy nie mogą sobie jakoś poradzić z zaszufładowaniem utworu pod względem jego typu. Komedie czy dramaty? Wydaje mi się, iż przy tym, rzecz jasna umownym tylko, podziałem sprawa stałaby się dość prosta: część pierwsza bowiem ma wszystkie cechy komedii, część druga jest typowym dla okresu romantycznego dramatem poświęcenia.

Część, którą nazwał przed chwilą komedia, zawiera w sobie elementy dobrej, jakże wartej polecenia współczesnym, roboty dramatopisarskiej. Nie intrygi, płacze się tu w sposób bardzo interesujący, dowcipny i mimo pozorów, bardziej prawdopodobny niż w wielu innych komediach, uważanych za wzorcowe, gdzie tylko szacunek dla pisarza nakazuje wyrozumiałość za nadużywanie, czysto teatralnego zresztą wy-

lasku, kryjącego się pod pojęciem deus ex machina. Głównym węzłem intrygi jest porwanie hrabiny Idalii. I nie widzę tu powodu, dla którego omyłka kozaka uznana została przez Iwaszkiewicza za „dość bajeczną historię“.

Cała ta dowcipnie pomysłana aferra nie jest oczywiście ostatecznym celem poety, ale trudno byłoby mi się również zgodzić z tezą, iż Słowacki chciał tu zapisać sobie z przywar społeczeństwa polskiego. Obyczajowość komedii w dzisiejszym tego słowa rozumieniu wynika z przypadku jako zupełnie chyba nie zamierzony efekt osobistej rozprawy poety z rywalem, Zygmuntem Krasieńskim, którego dość wiernym, choć skarykaturowanym, wcieleniem jest hrabia Fantazy. Aby Fantazy wypadł tak, jak chciał Słowacki, trzeba mu było właśnie dać otoczenie Respektów i Rzeźnickich i... aby pani Bobrowa mogła otrzymać swój, jakże idealnymi kolorami malowany portret, trzeba było dać w rysunku cienie bardzo kontrastowe. Za osobistą animozją do Krasieńskiego i za przedidealizowanie kochanej kobiety, nie mamy do Słowackiego pretensji, gdyż jako rekompensatę za ten brak obiektywizmu otrzymaliśmy wzorcową dla komedii polskiej postać Fantazy i jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych w polskiej literaturze dramatycznej.

Dość długi rozdział pracy o „Fantazym“ należałoby poświęcić pełnemu subtelności humorowi tego utworu. Złośliwości i szpileczki ironii są tak pięknie owinięte w mgiełkę do-

## Do nabycia wszędzie

Jerzy B. Rychliński

## Czarna Feluka

(powieść korsarska)

Wyd. „Żagiel” — Łódź

Do nabycia wszędzie

bręgo tonu i olbrzymiego poczucia smaku, że nawet chyba Krasieński nie miałby zbyt wielkiej urazy, gdyby się przyjrzał temu swemu konterfektowi. Nawet przy tak dorywczej analizie „Fantazego” na czoło wszystkich zagadnień musi się wybić pytanie: jak powstał pomysł wprowadzenia na scenę Majora. Jest to niespodzianka, z którą nie łatwo sobie poradzić. Przyznaję uczciwie, iż nie wiem, co na ten temat powiedzieli biegli w piśmie przyczynkarze. Sądzę, że źródło tego pomysłu jest podobne temu, z którego powstał wiersz „Do przyjaciół Moskali”. Wiara w czło-

wieka nie dała się pokonać zbrodniami reżimu. Pod grubą powłoką poczucia krzywdy, na dnie duszy żyło przekonanie, że dobry człowiek żyje w każdej szerokości geograficznej — trzeba go tylko odszukać. I tragiczny koniec Majora w akcie piątym przyćmiewa siłą uczucia piękną, a przez odwagę pewnego nasładowniczą interesującą scenę między polskim Romeo i Julią. Akt ten jednak, w przeciwieństwie do poprzednich, obciążony jest balastem romantycznych przesłowań. Człowiek ze śmiertelnym postrzałem w serce, może tak długo mówić tylko w dra-

macie z tej epoki. Poczucie sceny zanika wobec podświadomej konieczności zupełnego poddania się nastrojowi zwłaszcza jeśli idzie o nastroj najbardziej przez romantyka ulubiony, nastroj tragedii.

Mimo tego dość ryzykownego przeskoku słucha się komedio-dramatu Słowackiego niemal ze złością. Sprawa to przede wszystkim przepiękny wiersz i czysty język.

Przyjemność tak bezpośredniego obcowania z poezją Słowackiego pogłębiała została doskonałym, iście jubileuszowym, opracowaniem spektaklu. Jan Kreczmar po raz pierwszy

podobał mi się bez zastrzeżeń. Jego Fantazy, to postać, jakiej chyba jeszcze nie oglądaliśmy. Karykaturę Krasieńskiego próbowano zazwyczaj (winnemu temu sugestii) jako upoetycznioną, odcieleśnić — kończyło się to najczęściej — sztuczną oschłością, i oczywiście wypaczeniem myśli autora. Wydaje mi się, iż Fantazy w ujęciu Kreczmaru nabrał rumieńców, właśnie przez to, iż aktor w zgodzie z koncepcją reżysera (Edmund Wierciński) stworzył postać żywego człowieka, jak się to mówi, z krwi i kości. Utrudnia to rozpoznanie oryginału — ale nam już dziś

naprawdę nie o to chodzi. Dla wszystkich pozostałych wykonawców (Bracki, Pancewicz - Leszczyńska, Janikowska, Mrozowska, Kalinowski, Romanówna, Brydziński, Zelwerowicz itd.) mam same tylko wyrazy uznania. Jedynie chyba tylko Milecki (Jan) w pierwszych scenach (zwłaszcza spotkanie ze Stellą) operował niepotrzebnie jakimś zwolnionym reflekssem. Nie było to chyba celowe, bo później ten zdolny aktor „rozkręcił się” zupełnie i wszystko poszło dobrze.

Mieczysław Markowski

Karol Kornik

# PRZEZ TRZY CMENTARZE

(Fragment większej całości)

Kapral „Fatum” wyglądał w czarnej, cmentarnej płachcie zgoła niesamowicie. Podskakiwał właśnie pokrzykując w kącie i twierdził, że jest duchem bogatego kupca, którego otruła rodzina. Strzelec „Donald” przewracał się na sarkofagu i pozy kiwał gromkim śmiechem.

Ogólną wesołość w kaplicy Halpertów, w której znalazła schronienie drużyna, przerwał na chwilę suchy trzask granatnikowego pocisku.

— Te cholery nie dadzą nam od ziupać — skonkludował sceptycznie „Franus”, mały garbaty ulicznik, podciągając sobie z kapitalnym wyrazem twarzy długiego „tygrysa”, wojskową niemiecką pelerynę, która mu sięgała prawie do kostek.

Artur nie był wesoły. Żarła go tęsknota i niepewność, a przy tym męczył uporczywy ból głowy. Wyszedł z kaplicy i usiadł pod drzewem.

Cmentarz ewangelicki robił w tym, drugim dniu powstania, dziwne wrażenie. Dostojne grobowe tablice, omszałe krzyże, sędziwe drzewa — wszystko to zdawało się być zgorzone najzdem warszawskiej młodzieży, która — trzeba przyznać — nie bardzo chciała i mogła uszanować spokój tego miejsca. Zawsze żywym bliższe są sprawy ludzi żywych...

Opodal klóciło się zawzięcie dwóch chłopaków o płowych włosach, którzy razem nie mieli z pewnością więcej jak trzydzieści lat. Z krótkich wrywków, jakie dobiegały Artura, wnioskował, że przedmiotem sporu był granat. Jeszcze niedawno klóciło się pewnie o ołowiane wojsko...

Alejką szły właśnie, uginając się pod ciężarem leżącego na noszach rannego, dwie sanitariuszki. Dziewczyny przejęte były najwidoczniej swoją rolą, bo aż biło od nich ważnością. Ranny spojrzawszy na Artura szklanymi oczyma i ciężko jęknął.

Pod murem, na wprost, rozsiadła się gromadka chłopców, którym tłumaczył coś ich dowódca. Z daleka połyskiwały wytworne buty z cholewami, których sobie jeszcze nie zdążył zbrudzić. A jak fama głosiła, „Sek” nosił w kieszeni miękką sciereczkę i przy jej pomocy dyskretnie odkurzał i odcyszczał ukochane „cholewy”.

Ktoś obok cmił śmierzącego papierosa, ktoś inny nucił matowo pod nosem „Szturmówkę”. Z daleka dobiegał nieodłączny pogłos gestej strzelaniny. To walczył batalion „Zośka”. Tak twierdził w każdym razie kapitan.

Rozmyślenia Artura przerwał rozkaz wymarszu na czujkę. Stanowisko wysunięte było 200 m przed cmentarzem, w stronę torów kolejowych. Tam już byli Niemcy.

Artur miał służyć z kapralem „Fatum”. Szedł pochylony w stronę luzowanej czujki i myślał o bujnej fantazji warszawskich chłopców, którzy sobie dobierali najbardziej wyśzukaną pseudę — Fatum... cóż za pomysł? Los, przeznaczenie, wyrok?

Czy u diabła nie było prostszego imienia?

— E! Fatum! Czyś ty się nie mógł inaczej nazwać?

— Czekaj, jak dojdziemy, to ci powiem.

Granatowe niebo rozgorzało na horyzoncie pierwszymi pożarami. Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy obaj ułożyli się wygodnie na czujkowych stanowiskach.

— Bo widzisz — zaczął — ja wiem, że zginę.

— Głupi jesteś... — zachnął się Artur.

— I wiesz, co ci jeszcze powiem? Jak wrócisz na cmentarz, możesz wypić moją kawę — mnie już nie będzie potrzebna.

— Cholera, lubię takich! — sarknął Artur, ale było mu nieprzyjemnie.

Deszcz śnił niemiłosiernie. Minuty sączyły się wolno. Obaj milczeli.

Artur słyszał kiedyś, że człowiek przeczuwa śmierć. Ale, u licha twierdził tak kategorycznie, to zakrawało już na humoreskę!

Myślał przeleciał ostatnie dni: krótkie pożegnania z Ewą, jej mokre policzki i nieco melodramatyczny ton głosu, gdy mówiła: „pamiętaj”... Jego sztuczna wesołość i swoboda. Potem koncentracja, ostatni do niej telefon ze Starówki (drut śmieścze wydają się przez drugi telefoniczny karabinowe strzały...), ostatnie instrukcje („jeden gwizdek — pod ściany, dwa gwizdki — na środek”), przemarsz nocą na Wolę (pierwsze świsty dalekich pocisków i komiczne pokłony całego plutonu, bochenki chleba wymykające się spod ramion...).

— Pamiętaj Arturze, uważaj na siebie, ja czekam — dźwięczało w uszach. Widzi jak na jawie jej przymknięte powieki. — Ze też ja taki jestem idiota, że kocham zawsze najmocniej na odległość!

Nagły furkot i trzask pocisku granatnika wyrwał go z rozmyślań. Wtulił głowę w ramiona. To musiało być tuż obok. Przez sekundę słychać dokoła ciężkie krople odłamków.

— Fatum, zmacali nas!?

Nikt nie odpowiada.

— Fatum!

Potrząsnął go za ramię. Na próżno. Najchętniej zerwałby się, uciekł. Ręka w kieszeni rozgniała przemoczone pudełko papierosów. To otrzeźwia. Ścisła mocniej mokry metal PM-a.

\*\*

Artur nie mógł spać tej nocy. Myślał nie bez niepokoju o wczorajszym epizodzie i zastanawiał się, czy przypadkiem i on nie czuje „przeznaczenia”. Bo z tą śmiercią kaprala „Fatum” to, mimo wszystko, trochę jak w kiepskiej powieści. Myśl przeszkakiwała z tematu na temat, najbardziej nieprawdopodobne skojarzenia, kręte labirynty emocjonalnych procesów. — Niemieckie ulotki „armia niemiecka gwarantuje każdemu życie i pracę”, wasaty pułkownik mówi pewnym siebie głosem

„człogi sowieckie są już pod apteką Gessnera w Alejach Jerozolimskich”... jaką ładną buzię miała ta mała sanitariuszka... A, właśnie, sanitariuszka, łeb mi pęka. Trzeba ją odnaleźć. Zawsze to przyjemniej od ładnej...

Siedziała na ławeczce przed jakimś grobem i związała bandaże.

— Proszek? — szeroki uśmiech — myślałam, że pan jest ranny, aie ból głowy? Wstyd się w ogóle przyznać.

Ile ona ma lat — myśli Artur — szesnaście, siedemnaście? A paskiem ściągnęła swoją centkowaną „Zabę”, że można by ją dłonią w pół objąć. Spojrzaniem ogarnął małą figurkę. Brązowe nogi, czarne, krótko przystryżone włosy, prosty nosek, ładnie wykrojone, nie wielkie usta.

— Niech pan poczeka, coś się wykombinuje.

Wykombinowało się. Usiadł koło niej na ławeczce i zagadnął gdzie mieszka. Odpowiedziała chętnie. Mieszka na Czerniakowie, jest uczennicą IV klasy gimnazjum...

— No, a może by tak pacjent coś o sobie powiedział? — jest niezwykłe śmiała i rezolutna. Przez moment Artur zdaje się rozumieć wszystkich tych, co to w pierwszym dniu powstania zdradzali swych ukochanych. Odpędza od siebie ze złością tę myśl, bo ona mu się natręt nie łączy z Ewą.

A jednak ta mała go pociąga. A może po prostu była to potrzeba kobiecego ciepła? Wpatrywał się natarczywie w jej usta i — wbrew samemu sobie, żeby zabić obojętną ją go nieśmiałość — zapytał.

— Jak pani na imię?

— Krystyna.

— Krystyna, Krystyna... lubię to imię — powiedział beznamiętnie.

Niespodziewany ryk samolotu przerywa flirt. Nad cmentarzem za wisia na chwilę olbrzymi cień maszyny. Kryją się, gdzie mogą. Padają na ziemię.

— To Niemcy, będą nas bombardować! — krzyczy histerycznie jakaś dziewczyna.

Nie byli to jednak Niemcy. Na niebie zakwitły w chwilę potem liczne spadochrony. Raz po raz, to z lewej to z prawej, nadlatywały z rykiem potworne maszyny. Pierwszy amerykański zrzut. Jeszcze ktoś twierdził przerażony, że to niemiecki desant, ale już po minucie nastąpił paniki zamienił się w entuzjazm. Niemcy siedzieli cicho tylko gdzieś z lewej strony pluła sznurami błysków pelotka.

Ten zrzut był w efekcie swym bardziej istotny dla ducha, niż dla ciała. Nie wiele dał (choćby, przez dwa dni potem odbywał się konkurs kradzieży broni spod komendy, gdzie ułożono zasobniki), ale temperatura uczuć wzrosła niepomierzenie.

Tego samego dnia wieczorem, w komendę, która mieściła się w jakimś przytulnym budyneczku uderzyła bomba. Przez dłuższy czas zbierano kawałki poszarpanych ciał.

Artur stał w tym samym czasie o 40 kroków dalej i rozmawiał z kolegą, którego właśnie spotkał, kiedy nadleciała trzepocząc jakby skrzydłami, „gruba Berta”. Zrobiło się czarno dokoła i Artur zarejestrował u siebie jedno tylko uczucie: — Czy jeszcze żyję? — Ze spodni strząsnął błoto i, patrząc na obraz, jaki przedstawiał się jego oczom, spostrzegł najbardziej, zdawałoby się, błahy szczegół — spostrzegł mianowicie, że czyste, jasne ściany domów opodal zabryzgane są błotem, a szyby powypadały. — To wydało mu się skończenie przynębiające. Bardzo może, niż urwane ludzkie głowy.

Przez dłuższy czas pomagał Artur odgrzebywać i nosić rannych. Drażnił go zapach, który przypominał jeszcze pierwsze sowieckie na loty w 1942 roku. Był to specyficzny zapach krwi, pomieszanej ze spaleniżną.

Spacerował potem długo cmentarną alejką, odczytywał nazwiska i szeptał do siebie: — Hm, masz za pasem rewolwer i wydaje ci się, że jesteś panem świata, a tu pada pocisk, czy bomba i robi się kasza...

A gdzie się podziwiała mała Krystia? Poszła może gdzieś na przedpole zbierać rannych? Artur złapał się nagle na uczuciu zbliżonym do niepokoju. I jednocześnie miał wrażenie, że w stosunku do swej Ewy jest nie w porządku.

Zatrzymał się przed jakąś czarną płytą i z trudem odsylibizował zamazany napis:

„Małgorzata S., zmarła 12 lutego 1872 roku w wieku lat 20”.

\* \* \*

Sobota zaczęła się wczesnym natarciem nieprzyjaciela od strony torów kolejowych. Granatniki grzechotały złośliwie. Pojedyńcze strzały i serie z KM-ów i PM-ów przeszły wkrótce w jeden nieprzerwany szum.

Artur i jego drużyna obsadzili, stojący opodal, II piętrowy dom. Z okien i przeróżnych szpar, wpatrywali się w pomidorowe pole, na którym od czasu do czasu można było dojrzeć brązowy hełm.

Dowódca kompanii zakomunikował oschle, że idzie na cmentarz na odprawę. Nie trudno było spostrzec jak przelykał nerwowo ślinę, a palce u rąk drgały mu niepokojąco. Poszedł — i więcej nie wrócił.

Pociski padały gęsto. Powietrze było mdłe i ciepłe. Obok Artura stał „Kita”, równy chłopak ze Starówki. Zachowywał się dosyć osobliwie. Przez piętnaście minut mierzył bardzo uważnie, a po takich studiach niespodziewanie pociągnął za spust. Potem podnosił głowę, odwracał się i mówił wolno przez nos: — Jednego Szwaba mniej.

Kiedy go pytano, jak on to robi, że nie porusza karabinem, a zawsze trafia, wyjaśniał niechętnie:

— Czekam, aż mi któryś wlezie na muchę i wałę.

Rzecz była więc dosyć prosta. Dodać trzeba, że karabin „Kity” strzelał tylko raz, po czym trzeba

było drutem wypychać łuskę. „Kita” miał na głowie hełm z kilkoma zielonymi badyłami. Była to postać z nieprawdziwego zdarzenia, masko ta drużyna.

Ludność kamienicy, zgromadzona w schronie, poczęła głośno sarkać i wyrażać swoje niezadowolenie. Trochę nie należało im się może dziwić, bo ciągle okrzyki „natarcie idzie”, „Niemcy, Niemcy” — nie działały kojąco. Zresztą z ludnością podobna sytuacja była wszędzie. Entuzjazm i uniesienie trwają krótko. Później przychodzi smutna rzeczywistość — obowiązek i zaciskanie zębów.

Niemcy zbliżyli się niebezpiecznie blisko i sytuacja stała się krytyczna. Drużyna, daremnie czekając od wodu czy rozkazu z komendy, gdzie najwidoczniej bez przerwy trwała odprawa, opuściła zajmowany budynek. Zmierzała już, gdy powrócili na cmentarz.

Więści były złe. Wszystkie wysunięte placówki ściągnęły, niektóre zdzięsiłkowane.

Powstańcy szykują się zmęczeniu do snu. Kładą się, gdzie popadło. Obok grobów i na grobach. Huk i jazgot dookoła nie wiele ich interesuje. Co chwila nadlatuje pocisk, rozpryskując się kaskadą srebrnych iskier. To artyleria kolejowa ostrze liwuje cmentarz szrapnelami.

Artur wszedł do jakiegoś grobowca, gdzie siedział już kilku kolegów. Jeden z nich zdobył butelkę szampana. Szampan... Artur pił go ostatnio na swoich imieninach. Wtedy była Ewa. Widzi jeszcze jak korek uderza o sufit...

\*\*

Jest 6 sierpień.

Na alejce cmentarnej ustawia się długi dwuszereg. To cała reszta z batalionu „Wigry”. Kapitan mówi krótko: oddziały się rozmundurują, część pójdzie do śródmieścia, część do Kampinosu.

Było coś tragicznego w tym widoku zdejmowanych mundurów, „tygrysich” bluz i hełmów. Czy to miał być już koniec walki? Czy tak wyglądało powstanie?

I znowu staje dwuszereg. Znowu dwuszereg cywilów. Połowy brak.

— Dziękuję Wam Chłopcy! Do zobaczenia! W tył zwrot, rozejść się!

W tej samej chwili Artur dojrzał Krystię. Stała z jakąś koleżanką i rozmawiała. Podbiegł do niej szybko i pociągnął poufale za rękę. Szepnął:

— Chodźmy razem!

Krystia przyjęła to z radością i pokiwawszy koleżance, rzuciła jej krótkie — Pa!

Doszlusowali do grupki, która obrała za kierunek Puszcę Kampinoską.

Mieli razem cztery bębenkowe rewolwery typu „Smith and Wesson”. To było coś, co wzmacniało ich samopoczucie. Dowództwo objął podchorąży „Nelson”, bystry chłopak o śmiesznych, włóczękowych wloszach. Artur przypomniał sobie, że

Ewa miała z dziecinnych jeszcze lat lalkę o takich samych włosach. „Nelson” nosił okulary w złotej oprawie, a na siwej wiatrówce kołysała mu się nieodłączna lornetka. Znany był z manier godnych dworzani na Ludwika XIV. Manier tych nie stracił nawet teraz podczas pierwszych dni powstania.

Wyglądało to dosyć komicznie, gdy ustawiał wszystkie i ustalał kolejność, po czym z wytwornym gestem i uśmiechem lorda mówił do Krysi:

— Koleżanka będzie szła zawsze za mną, jako druga.

Uszli pewnie ze 200 metrów od ogrodzenia cmentarza, gdy za nimi rozwarło się piekło. Granatniki, moździerze, działa ciężkie i lekkie — chyba wszystko uwzięło się na ten mały skrawek ziemi. Co chwila któryś z gromadki powstańców oglądał się za siebie i żęgnął w duchu.

Przyspieszyli kroku i wkrótce weszli na teren cmentarza żydowskiego. Głębokie doły i gęste krzaki utrudniały poszukiwanie się, ale stwarzały lepsze warunki bezpieczeństwa, niż gdziekolwiek indziej. „Nelson” postanowił doczekać do zmroku. Rozłożyli się więc w jakiejś naturalnej zapadlinie na mokrej trawie i nadsłuchiwali głuchych, dalekich odgłosów walki. Nad miastem unosiły się gęste dymy. Gdzieś słychać było jęk pikującego samolotu.

Długie serie strzałów z broni maszynowej dochodziły ze wszystkich stron. Wola i Powązki wydawały się głuche i wymarłe. Z fragmentarycznych i niepewnych relacji, wiedzieli, że tu dokonano jednej z najstraszliwszych rzezi ludności cywilnej. Cóż, kiedy zbrodniarz ma tyle na sumieniu, że ten jeden mord więcej nie jest już w istocie żadnym obciążeniem jego hipoteki...

Było zupełnie ciemno, gdy dźwięki się ciężko w dalszą drogę. Między kikutem a cmentarzem powązkowskim znajdowała się niewielka łączka, przez którą trzeba było przeskoczyć możliwie szybko. Zatrzymali się przy ostatnich krzakach i „Nelson” długo wypatrywał czegoś przez lornetkę.

— Patrzy, jak prawdziwy Nelson — bąknął któryś.

A było ich razem sześciu chłopców i jedna dziewczyna. „Nelson”, Artur, mała Krysia, karykaturalnie długi „Bob”, garbaty „Franus”, „Inżynier”, szpakowaty już jego mość, którego o wszystko można było posadzić, z wyjątkiem odwagi, i wreszcie „Kacper”, podrostek o wiecznym błędnych oczach, ubrany jak na przyjęciu u cici.

Przestępowali teraz z nogi na nogę i kleli z cicha „Nelsona”, że ich tu trzyma tak długo.

Jeden skok i mur cmentarny. Na wysokości piersi spory otwór, jakby dziura od pocisku. Tego więc wypatrywał cierpliwie „Nelson”. Kolejno przetoczyli się na drugą stronę. Skądś docierał ostry, trupi smród.

Wolno, gęsiego, równoległe do ulicy Powązkowskiej, przebrnęli cmentarz. Zatrzymała ich dopiero jasna plama rozwarłej szeroko bramy. Czy mogło być coś bardziej wstrząsającego, niż ta zastęła brama, smutny poszum drzew i martwa cisza?

Tylko z oddali podpłynął nad cmentarz odgłos gwizdu lokomotywy.

— Stójcie tu cicho, ja zobaczę, czy nie ma na ulicy Niemców — wyszeptał „Nelson” i na palcach skradąc się począł w stronę rozwarłej bramy. Szczęśliwie par oczu towarzyszyło jego „podchodom”. Wychylił głowę na zewnątrz i natychmiast odskoczył, jak oparzony. Skręcił gwałtownie w bok i machnął ręką, wzywając gromadkę za sobą. Biegną na przelaj przez groby. Przefruwały ogrodzenia, skacząc przez sztachety, kopce, potracając krzyże. Nagle

„Nelson” staje, jak wryty. Wszyscy zastają go na moment w bezruchu. Tuż obok słychać tupot podkutych butów i krótkie szcęknięcie „Hier”! Widać błysk hełmów, słychać przyspieszone oddechy.

Zrywają się znowu do szalonego biegu. Znowu cienie i krzyże, znowu krzyże i cienie. Arturowi przychodzi do myśli zabawa w chowane go.

Przez kilka minut trwa gonitwa po grobach, ścieżkach i alejach. Co raz to któryś pada jak długi. Dobiegają do muru. Szukają nieszczęsnej dziury, przez którą weszli na cmentarz. Nie ma nigdzie. Dłonie macają wilgotną chropowatość ścian. Oczy wypatrują wybawczego otworu. Daremnie. Muru przeskoczyć się nie da. Sapanie i tętent żołdaków słychać tuż. — Dlaczego nie strzelają, u licha?!

Jest! Tłoczą się wszyscy razem. Jeden popycha drugiego. Chcieliby przejść jak najszybciej. Uciec, uciec z tego piekła! Obok słychać łamanie gałęzi i triumfalny okrzyk „endlich”!

Pierwszy przekazuje „Nelson”. Przez urywek sekundy Artur widzi na niebieskim, księżycową poświatą zalany tle, jego sylwetkę, jakby wyciętą z czarnego papieru (w pokoju matki wisiał kiedyś taki obrazek)...

Długi, niezgrabny „Bob” wyleciał ostatni z dziury na świetlistej wiązce pocisków z KM-a. Wyglądał, jak Baba Jaga na miotle. Bob urodził się jednak widocznie pod szczęśliwą gwiazdą, nic mu się bowiem nie stało. Niemcy pruli teraz w otwór, jak wściekli. Za późno. Powstańcy biegną już długimi susami wzdłuż muru. Po kilkudziesięciu metrach nad ich głowami otworzył się smugowy baldachim. Baldachim obniżał się coraz bardziej. Biegną pochyli, potem posuwali się już na czworakach, potem czekali się przytuleni do ziemi. Niemcy zaniechali jednak pościgu. Noc była ich największym wrogiem.

Do torów może być 700 metrów. Dyszą ciężko, leżąc pod nieprzyjazną ścianą wypalonego domu. Nie samowicie rysują się czarne węgleńki okiennych framug. Dymią kupki popiołów.

„Nelson” patrzy długo, straszliwie długo przez swą lornetkę.

Artur oparł głowę o zbrukane buty „Franusia” i trwał tak, na poły na jawie, na poły we śnie. W pewnym momencie głowa, pozbawiona nagle oparcia, uderza o ziemię. „Franus” odczołgał się dwa metry i warknął chrapliwie:

— Te, nie śpij, idźmy dalej!

Badyle cebuli chłuszczą po twarzy, która, pocięta ukąszeniami komarów, podobna jest bardziej do gąbki niż do ludzkiego oblicza.

Uliczka. Wypalone domki. Znowu „Nelson” wypatruje czegoś przez lornetkę. Artur zasypia natychmiast i budzi się po sekundzie. Zrywa się, przebiega kilka metrów wybrukowanej ulicy, by zaraz potem paść tuż za Franusiem znowu na ziemię. Po raz setny chyba poprawia wiatrówkę, spod której wylaży brudna koszula, i po raz setny czyści z błota rewolwer. Następne 50 metrów bezgłośnie czolgania wyzuwa go z sił do reszty. Łokcie pięką dotkliwie, na kark zwałił mu się kilkutonowy ciężar. Psiakrew — myśli — na ćwiczeniach pod Radzymim ciągle sterczało mi siedzenie. Tam się odwalało lipę. Tu lipa równoznaczna jest ze śmiercią. Tu możesz oszukać tylko siebie.

Leżą. Czekają.

— N i e m i e c! — syczy „Nelson” przez zaciśnięte zęby. Ten syk działa jak kubeł lodowatej wody. Jest. Siedzi na parapecie okna jakiejś chałupinki i drzemie. Krysia odruchowo zakrywa bielejące łydki. Żołnierz kiwa się rytmicznie.

— Jezus kochany, jeszcze tego brakowało, zwariował i wszystkich nas zgubi — bełkocze któryś z przerażeniem.

Lecz „Inżynier” stoi tylko dwie — trzy sekundy. Zaraz potem pada ciężko na trawę, podcięty brutalnie przez leżącego obok Boba.

— Ośle jeden, bandyto, morderco! — Bob gada szybko, od rzeczy, opluwa się przy tym i charcze z wściekłości.

Głowa to mu opada, to ją z wysiłkiem dźwiga.

— Niemiec... w mundurze, z karabinem, ładownicami, wydawało się, że po tym wszystkim, co stało się w ostatnich dniach, nie przyjdzie im już nigdy t a k i c h Niemców oglądać.

„Nelson” powolnym uniesieniem ręki dźwiga swoją gromadkę z ziemi. Bezszelestnie, na palcach, przekradają się obok śpiącego żołdaka. Stąpają jak po szkle. Całe posiadane przez nich uzbrojenie skierowane jest w pierś pogrążonego w drzemce człowieka. Jeżeli otworzy oczy — wyda na siebie wyrok śmierci. Ale wyda i na nich.

Ściana chałupy jest jak upragniony ląd po długich dniach żeglownia. W chałupie, u pułapu izby, kołysze się żyrandol. Pewnie od podmuchu potężnego westchnienia, które dobywa się z piersi uciekinierów. Brudne frendzle żyrandola. Lep na muchy. Wczoraj mieszkali tu jeszcze ludzie.

Jak potężny dźwięk, alarmowa syrena, strzał armatni — dźwięczą na gle porzucone przez kogoś, a potracone przez Franusia, bezpieczeństwa gra bie. „Bob” odwraca gwałtownie głowę, kurczy pociesznie szyję i zaciska szczęki, obnażając jednocześnie wielkie, silne, białe kły. „Inżynier” kręci z dezaprobatą głowę. Wszyscy jednocześnie odwracają się za siebie. W oczach czai się niepokojony strach.

Krótki ogródek i nowa przeszko da: płot. „Nelson” zdejmując pasek od spodni i ściągając mocno dwa poziome, kolczaste druty. Przeszypują nerwowo z nogi na nogę, lecz myśli krążą dokoła śpiącego Szwab. Chwilę panuje kotłowanie przy drutach, lecz wreszcie są już w upragnionym ogródku. I znowu cebula...

Po torach, które nie mogą teraz być dalej niż dwieście metrów, jedzie wolno, zgrzytając złowroźnie, zjeżony działami, pancerny pociąg. Uciekinierzy widzą go wyraźnie — tory biegną sporym nasypem. Z lewej strony słychać urywki rozmów niemieckich żołnierzy i głośnie śmiech. Ziemią wstrząsa daleka detonacja.

„Franus” pochyla się do Artura i, dotykając spieczonymi wargami jego ucha, szepcze:

— Ten cholerny pociąg! Szlag by go trafił! Jak stanie na torach, to za Boga nie przejdziem?!

Artur podziwia Franusia, który może jeszcze tak bistro myśleć. Po głowie obija mu się głuchym dudnięciem: — Przejść tory, przejść tory, przejść tory. Tam jest wolność. Wolność? No, w każdym razie jest lepiej, jak tu...

Powoli, jakby drwiąc z naprężonych nerwów, pociąg przepelzał dalej.

Powstańcy posuwali się teraz z ogromną ostrożnością. Co trzy metry „Nelson” badał przedpole. Najmniejszy szmerek zatrzymywał ich na dziesięć — piętnaście minut.

Nagle... O krok od Artura dźwięgnęła się na całą wysokość zwałista postać „Inżyniera”, a zdumieni towarzysze usłyszeli trzaśnięcie obcasami i jego służbisty głos:

— Panie podchorąży, strzelec „Inżynier” melduje posłusznie, że dalej iść nie może — sekundę widzą wszyscy rozchylone usta stojącego i słyszą jego świszczący oddech:

— Jezus kochany, jeszcze tego brakowało, zwariował i wszystkich nas zgubi — bełkocze któryś z przerażeniem.

Lecz „Inżynier” stoi tylko dwie — trzy sekundy. Zaraz potem pada ciężko na trawę, podcięty brutalnie przez leżącego obok Boba.

— Ośle jeden, bandyto, morderco! — Bob gada szybko, od rzeczy, opluwa się przy tym i charcze z wściekłości.

— Panie podchorąży, nie jestem osłem — słychać żalodne słowa i jednocześnie głębokie westchnienie. „Inżynier” oparł się na łokciach, opuścił głowę, a na zbrózdzone czoło spadło mu białe pasmo włosów.

Zza złotej oprawy okularów spozierają spokojne oczy „Nelsona”.

Znowu ruszają. Jeszcze kilka kroków ogródkiem i płytki rów. Potem czarna ścieżka. Posuwają się teraz gęsiego. Pięką pościerane kolana, tętnią głowy.

Głośno chrzączą pod stopami żwir. Artur przylepia wzrok do jakiejś akacji — Jeżeli tym razem nie usłyszą ich Niemcy, to znaczy, że mają watę w uszach...

Rozdzierający ryk „Ha!”, dwa błyski i dwa strzały. Z przeciwnego rowu unosi się aż do pasa człowiek w szarym mundurze. By za raz potem opaść na powrót dziwacznie na spiralę. Słychać skowyt przechanego samochodem psiaka. Z lufy niemieckiego karabinu ścieka na trawę smużka dymu.

Niemiec i „Nelson” strzelili równocześnie, lecz jeden chybił.

Leżą znowu na ziemi, chłonąc z przerażeniem narastającą ze wszystkich stron wrzawę. Noc rozkwita ognikami i gwizdzą drwiąco na struchlałych uciekinierów.

Któryś zrywa się na równe nogi, pociągając za sobą innych. Biegną w prawo, a gdy z przodu zaczyna strzelać karabin maszynowy, skręcają w lewo. Jeden potyka się o drugiego.

Obok rozrywa się granat. Nad głowami zawisa rakietka. Jest biało-niebiesko jak w świetle pięciu księżyców. Chwilę gromadka drepce w miejscu, tuląc się do siebie jak sploszone kury.

— Za mną, na tory! — to głos „Nelsona”. Tak działać może tylko głos matki na zagubione dzieci.

Biegną długim krokiem. Głośno rzezi konający Niemiec.

Nieprzyjacieli ostrzeliwuje ich świetlną amunicją z trzech punktów: z tyłu i z obu boków. Pociski

krzyżują się znowu nad głowami, tworząc misterną siatkę.

Teren wznosi się łagodnie. Do torów jest nie więcej, jak 50 metrów. Siatka obniża się, buczy tuż nad uszami. Głęboki pochył przęgina ich wreszcie ku ziemi. Sądzą na czworakach. Nasyp. Metaliczny dźwięk pocisków, uderzających o szyny.

Artur wbiega na tory. Koło kostek bzykają światelka. Artur potyka się o szynę, łapie jednak równowagę i noga automatycznie podnosi się w górę, wyczuwając, że przez cięż wzdłuż linii kolejowych rozciągnięte są niskie druty.

Już żółte smugi pocisków są wysoko ponad nim. Tylko sekundę trwa leżąc na ziemi. W momencie, w którym zrywa się do dalszej ucieczki, na górze rozlega się tupot. Podnosi głowę. Na nasypie, w aureoli tysięcy świateł, rysuje się olbrzymia postać „Inżyniera”. Wydaje się, że to jakiś trzepoczący skrzydłami wiatrak wyrósł nagle na torach.

— Panie podchorąży, odmawiam posłuszeństwa... — stoi, a jego krzyk brzmi jak solowy śpiew na tle symfonii kanonady i wybuchów.

Artur, wypchnięty jakimś wewnętrznym rozkazem, podbiega pod nasyp, łapie szalenca za poły marynarki i szarpie aż do bólu w kościach. Marynarka trzeszczy. Wielkie cielsko „Inżyniera” nie stawia oporu. Druty podcinają mu nogi i całym ciężarem wali się na Artura. Obaj koziołkują po nasypie w dół.

„Inżynier” gada coś od rzeczy, lecz słowa porywa lawina strzałów

Pastelowo niebieszczy horyzont, ukazując zgłiszczą domów i las ko minów. Światło rozrywających się rakiet oblewa zastygłe w martwocie mury, a migotliwy blask błędzi po resztkach nieistniejących do mostów. Ustawiona opodal przeciw lotniczą armatka sięga ku niebu war koczem żółto-czerwonych pocisków.

Karol Kornik

## Życie muzyczne Warszawy

Warszawa rozpoczęła swój sezon muzyczny.

W ramach miesiąca odbudowy stolicy Wielka Orkiestra Polskiego Radia z Katowic, pod dyrekcją Grzegorza Fitelberga i Witolda Rowickiego, przy współudziale pianisty Jana Ekiery, dała w sali „Roma” 3 koncerty.

Nie byłem niestety, ani na pierwszym, ani na trzecim. Po prostu, redakcja nie otrzymała zaproszeń. Na drugi koncert nie zostaliśmy zaproszeni także, ale skorzystałem z uprzejmości bileterów, którzy mnie znają i gwoździ chęci wypełnienia swej roli informatora muzycznego, czytelników „Dziś i Jutro” znalazłem się na widowni. I dobrze się stało, bo koncert, tak ze względu na jego wykonawców, jak i program, wart był omówienia.

Na wstępie odegrano Uwerturę Tragiczną Panufnika. Kompozytor jest jednym z młodszych i popularniejszych twórców naszego pokolenia. Jego Uwertura posiada ciekawe założenie artystyczne, jednak nie odbiega od często w muzyce nowoczesnej stosowanego rozwiązywania. Sam temat jest ubogi i równie ubogo rozprawiony. Nie ratuje sytuacji dość bogata instrumentacja utworu. Zamierzony tragizm, nie wybija się zupełnie, Panufnik, jak wielu podobnych mu wynawców modernizmu ginie, mimo niewątpliwego talentu, od własnej broni. Podczas, gdy dysonans, użyty w miarę, mógłby bardzo podkreślić dramatyczność nastroju dzieła — stosowany jako reguła — spala się na panewce. Uwidacznia się tu stara prawda, że samo założenie wywołania nastroju nie wystarczy, do stworzenia dzieła sztuki — niezbędnym jest bogactwo tematów i ich rozwiązanie nie przez zamykanie się w jakichś „izmach”, ściśle określonych, które zawsze zewężają horyzont i możliwości, a nigdy ich nie poszerzają.

Symphonie Concertante Karola Szymanowskiego, jest sui generis arcydziełem. Pierwsza i druga część tkwią głęboko w góralskiej tematyce ludowej, jednak sposobem harmonizacji utrudniają często przeciętnemu słuchaczowi wglądzenie się w jej istotne piękno. Natomiast porywająca jest część trzecia.

utrzymana w charakterze oberka, w której, jak nigdzie chyba uwidacznia się u Szymanowskiego jego łączność z duchem narodu i kontynuacja, jakże genialnie prosta, tradycji Szopenowskich. Partię fortepianową wykonał p. Jan Ekiery. Wybór nie był szczęśliwy. Partia fortepianowa traktowana jest w tym utworze jako jeden z współuczestników całości, toteż niejednokrotnie w ogóle nie wychodziła i nie wyodrębniała się w całości. W kilku „solo” jednak pokazał p. Ekiery swój łwy pazur, tzn. błyskotliwą technikę, ładny ton i wyczuwanie frazy. Dokładniejszą ocenę artysty odkładam do następnego okazji, w której okoliczności będą bardziej sprzyjające. Koncert zakończyła Symfonia Brahmsa. Jest to potężny w swej tematyce, jej rozwiązaniu i bagactwie utwor. Niewątpliwa indywidualność Brahmsa, głębia jego tematów, bogactwo wrażeń dźwiękowych, tworzą z jego symfonią, prawdziwie arcydzieło i to w okresie, gdy zdawało się, że Beethoven postawił już w tym rodzaju muzyki kropkę nad „i”. I tu właśnie jest głęboki triumf Brahmsa. Nie wzgardził on ani zdobycami „ostatniego klasyka i pierwszego romantyka”, ani wielkich romantyków rzeczywistych i nie tracąc nic z siebie, nawiązał do nich — tworząc wielkie i nieprzemijające dzieło, któremu nie zaszkodził fakt, że w ostatniej jego części narzucają się nam reminiscencje z IX Symfonii Beethovena. Z jej „Ody do Przyjaciół” Co za lekcja dla muzyków doby dzisiejszej!

Koncertem dyrygował p. Witold Rowicki.

Jest to niewątpliwie jeden z największych talentów kapelmistrzowskich w kraju. Kapitałne wyczuwanie frazy, zdolność wnikania w najgłębsze tajniki utworu, wspaniała dynamika — oto główne jego cechy. Kapelmistrz wyraźnie żył z orkiestrą, jest przez nią rozumiany i wydobywa z niej wszystkie zamierzone efekty. W sumie — zważywszy jego dotychczasowe zdobycze i wierzając w jego rozwój — ufać należy w ogromną przyszłość tego młodego, a już o wybitnej indywidualności artysty.

Stanisław Urstein.

# TYDZIEŃ KULTURALNY

## NOWA PRAPREMIERA POLSKA

**P**ANSTWOWY Teatr Polski w Poznaniu otworzy w pierwszych dniach października nowy sezon prapremierą dramatu Romana Brandstaettera pt. „Przemysław II“. Tematem sztuki są zagadnienia Pomorza. W ten główny nurt wplecione są dzieje osobistej tragedii króla Przemysława. „Przemysław II“ stanowi jedną z części dramatycznej trylogii pod ogólnym tytułem „Piastowska Saga“. Publiczność wielkopolską zainteresuje na pewno bardzo blisko fakt, iż akcja sztuki rozgrywa się na zamku poznańskim i na zamku w Rogoźnie.

Z wielką niecierpliwością oczekujemy zapowiedzianej premiery wierząc, iż stanie się ona nowym sukcesem zarówno autora jak i Wilama Horzycy, który pracy Brandstaettera nada kształt sceniczny.

## ROWICKI JEDZIE DO PRAGI

**M**ŁODY dyrygent Witold Rowicki podbił serca publiczności warszawskiej w czasie koncertów jakiejś Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia dała na rzecz odbudowy Filharmonii Warszawskiej. Z prawdziwą tedy satysfakcją notujemy, iż w ramach II Międzynarodowego Festiwalu Radiowego Muzyki Słowiańskiej, w dniu 10 listopada br., Rowicki dyrygować będzie orkiestrą radia czeskiego. Po występach w Pradze Rowicki uda się do Bułgarii, gdzie dyrygować będzie siedmioma koncertami. W tece zostało jeszcze zaproszenie do Londynu bez bliższego sprecyzowania terminu.

## NOWE WYDANIE „KRONIKI GALLA“

**W** drukarni uniwersyteckiej w Krakowie drukowane jest obecnie nowe wydanie jednego z najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego, „Kroniki Galla“, opatrzonego komentarzami prof. Juliana Krzyżanowskiego. „Kronika“ drukowana będzie w postaci reprodukcji litograficznych poszczególnych stron oryginalu.

Wspomniane wydawnictwo przygotowywane jest w związku z jubileuszem Polskiej Akademii Umiejętności.

## WĘGIER O POLSCE

**Z**NANY publicysta węgierski György Kaldor, naczelny redaktor węgierskiej agencji telegraficznej MTI, wydał książkę „A mai Lengyelország“ poświęconą dzisiejszej Polsce.

Po nakreśleniu dziejów Polski i jej ewolucji politycznej w ciągu ostatnich lat autor omawia polską sytuację społeczno-gospodarczą, akcentując rolę, jaką odgrywają w układzie polskiej gospodarki Ziemia Odzyskane. Książka red. Kaldora przyczyniła się niewątpliwie do bliższego zaznajomienia się społeczeństwa węgierskiego z aktualną sytuacją Polski.

## KONKURS MUZYCZNY W GENEWIE

**O**D 20 września do 3 października w Genewie odbędzie się Międzynarodowy Konkurs Muzyczny, do którego zgłoszono 462 muzyków z 29 państw.

Zadziwiająco duża jest w tym roku liczba zgłoszonych do konkursu kobiet. Grupy narodowościowe według liczebności przedstawiają się następująco:

Niemcy 84 osób, Węgry 77, Austria 52, Włochy 50, Francja i Szwajcaria po 44, Czechosłowacja 13, Anglia i Polska po 11, USA 10, Belgia i Bułgaria po 8, Holandia 7, Grecja i Jugosławia po 5. Grupy mniejsze niż 3 uczestników zgłoszone zostały z

Łotwy, Kanady, Palestyny, Rumunii, Argentyny, Australii, Egiptu, Litwy, Monaco, Portugalii, Szwecji i Turcji.

Według specjalności skład uczestników przedstawia się następująco: pianistów 175 (w tym 98 kobiet) śpiewaków 141 (97 kobiet), 82 skrzypków (32 kobiety), 14 wiolonczelistów, 34 flecistów i 16 waltornistów.

W skład polskiej grupy uczestników konkursu wchodzi laureaci krajowego konkursu eliminacyjnego m. in.: S. Szaniawska (sopran), B. Paprocki (tenor), H. Palulis (skrzypce), A. Bolechowska (sopran), E. Statkiewicz (skrzypce) i E. Gollnik (waltornia).

Wraz z grupą konkursowiczów udają się do Genewy Wiktor Bregy — kierownik ekspedycji i Ewa Bandrowska — Turka, która zaproszona została do jury konkursu.

## NOMINACJE REKTORÓW NA WYŻSZYCH UCZELNIACH

**P**REZYDENT RP. powołał na lata akademickie 1948-49, 1949-50, 1950-51:

Dr. Teodora Marchlewskiego — na Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr. Jana Dąbrowskiego — na Prorektora tegoż Uniwersytetu.

Dr. Kazimierza Ajdukiewicza — na Rektora Uniwersytetu Poznańskiego w Poznaniu, dr. Bolesława Kuryłowicza na Prorektora tegoż Uniwersytetu.

Dr. Tadeusza Kielanowskiego — na Rektora Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, na Prorektora dr. Józefa Parnasa.

Dr. Osmana Achmatowicza — na Rektora Politechniki Łódzkiej, w Łodzi, na Prorektora dr. Jerzego Jakubowskiego.

Dr. Karola Wilhelma Koranyi — na Rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Dr. Seweryna Wysloucha — na Prorektora Uniwersytetu we Wrocławiu.

Dr. Stefana Straszewicza — na Prorektora Politechniki Warszawskiej.

Dr. Stefana Turskiego — na Rektora Politechniki Gdańskiej w Gdańsku.

Dr. Walerego Goetla — na Rektora Akademii Górniczej w Krakowie, na Prorektora dr. Witolda Biernawskiego do spraw wydziałów: Górniczego, Hutniczego, Elektromechanicznego i Geologicznego — Mierniczego. Dr. Ludomira Ślędzkiego na Prorektora Akademii Górniczej w Krakowie do spraw wydz.: Architektury, Inżynierii i Komunikacji.

Dr. Aleksandra Wakara — na Rektora Akademii Nauk Politycznych w Warszawie.

## ZAKŁAD MUZYKOLOGICZNY W WARSZAWIE

**S**ENAT Uniwersytetu Warszawskiego powierzył doc. dr. Zofii Lissa zorganizowanie Zakładu Muzykologicznego na U. W. Zakład ten

otwarty zostanie już w bieżącym roku akademickim.

Nowa katedra muzykologiczna wypełni poważną lukę Uniwersytetu Warszawskiego i pomoże w szkoleniu młodych teoretyków i historyków muzyki tak potrzebnych w rozwijającym się ciągle szkolnictwie muzycznym. Nowopowstały Zakład Muzykologiczny Uniwersytetu Warszawskiego rozporządza już teraz poważną, bo kilka tysięcy tomów liczącą biblioteką, oraz pełnym urządzeniem z funduszy komitetu kultury przy Prezydium Rady Ministrów.

## GRAFICY POLSCY W WIEDNIU

**W** Wiedniu nastąpiło uroczyste rozdanie nagród na międzynarodowej wystawie plakatów.

Graficy polscy odnieśli na tej wystawie poważny sukces. Nagrody otrzymali: Tomaszewski, Lipiński, Kreczkowski, Chomicz, Sliwińska, Jakubowski, Stawiński, Bocianowski, Białostocki, Karolak, Grochowski, Kaczmarek, Janko, Pawlak i Swoboda.

Nie chcę kwestionować orzeczenia sądu konkursowego, który na pewno składał się z fachowców. Cieszę się szczerze z sukcesu wyżej wymienionych. Ale... Widziałem plakat jednego z nagrodzonych wykonany na „Dzień Lasu“. Grube drzewo — rozumiem, Ptasek ze wstęgą biało-czerwoną w dziobie — rozumiem, Tabliczka z napisem: „Dzień lasu“ — rozumiem. Ale tego, że ta tabliczka przypięta została do pnia

drzewnego pineskami nie rozumiem. Pineska wbita w rosnące drzewo? Właśnie w „Dzień Lasu“?

## FILHARMONIA ŁÓDZKA

**S**EZON bieżący Miejska Filharmonia w Łodzi rozpoczyna koncertem inauguracyjnym w dn. 24 września, orkiestrą dyrygować będzie Włodzimierz Ormicki, który objął kapelmistrzostwo w orkiestrze tej na stałe. W partii solowej wystąpi wiolonczelista D. Danczowski: z Poznania. W okresie od października do grudnia wystąpią gościnnie w charakterze dyrygentów: Z. Górzynski, Z. Latoszewski, S. Wisłocki, M. Mierzejewski. Solistami będą pianiści: Szpinalski, Smendzianka, Lisiecki, Anna Schic, Woytowicz i Serocki, skrzypkowie: Dubiski, Kowalski i Kuryłło, wiolonczeliści: Danczowski i Adamska oraz śpiewaczka Olga Łada. Wystąpi też gościnnie jako solista w grze na rogu w koncercie Haydna Maksymilian Zimolonec z Katowic.

W rozpoczynającym się sezonie Filharmonia Miejska w Łodzi organizować będzie również koncerty przeznaczone dla łódzkiego świata pracy (ceny biletów od 30 do 55 zł), oraz popularne poranki muzyczne. Raz w tygodniu odbywać się będą wielkie koncerty symfoniczne.

Skład orkiestry Filharmonii Łódzkiej został powiększony i składa się obecnie z 67 osób. Obowiązki dyrektora Filharmonii pełni obecnie dyr. administracyjny Roman Irzykowski. W najbliższym czasie powołana zostanie przez prezydenta m. Łodzi Rada Artystyczna Filharmonii.

# O zagadnieniach muzyki Polskiej

(Artykuł dyskusyjny)

Tytuł artykułu jest zwykłym plagiatem. Zaczępnąłem go z fragmentów przemówienia Andrzeja Zdanowa („Odrodzenie“ — W-wa, Nr 26 (187) z 27.VI.1948. „O zagadnieniach muzyki radzieckiej“), w których autor imieniem W.K.P.b., omawiając kierunek i stan obecnej muzyki w ZSRR, nakreśla plan działania dla kompozytorów na przyszłość.

Mysla przewodnią Zdanowa jest surowa krytyka prądów dominujących obecnie w dziedzinie sztuki w ogóle, a w muzyce w szczególności. Nie szczędzi gorzkich słów formalistom i w ogóle tym wszystkim kompozytorom, którzy hołdują coraz to nowym koncepcjom i „izmom“ itp., cofają muzykę wstecz i odsuwają ją od głównego odbiorcy, tj. narodu.

Problem ten jest dziś ciągle zagadnieniem u nas otwartym. Od czasu do czasu wybuchają krótkie na ten temat polemiki, które gasną szybko, zanim strony zdołały się porozumieć. A strony — to muzycy walczący li tylko o swoje koncepcje. Nie wypowiedziało się jeszcze w tej sprawie społeczeństwo — nie wypowiedziało się jeszcze szary słuchacz koncertów, czy to na oficjalnych estradach, czy w radio, A szkoda.

Sprawa jest zagadnieniem społecznym. Słusznie mówi Zdanow, że muzyk, który tworzy dla siebie, dla garstki wybranych, lub dla potomności, która go dopiero oceni — działa w próżni. Dziś ambicją naszą jest wciągnąć na orbitę sztuki cały naród, z wszystkich zrobić jej chętnych odbiorców. A więc nie dla potomnych, a dla żywych, nam współczesnych muśmy tworzyć i oddawać wszelkie wartości kulturalne.

I dlatego piszę ten artykuł. Piszę go nie jako muzyk, ale jako społecznik, który na zagadnienia poruszane patrzyć chce oczami tych, którzy obserwują i słuchać chce uszami tych, przed którymi stajemy jako wykonawcy. Dla ułatwienia czytelnikowi zorientowania się w moim nastawieniu, od razu stwierdzam: oburacz podpisuję się pod wywodami A. Zdanowa. Są one jasno sprecyzowane, twarde, męskie i słuszne. Są poza tym nacechowane prawdziwą troską o wartość, rolę i cel muzyki, o jej znaczenie dla społeczeństwa.

U nas sytuacja jest specjalnie trudna. Powojenna muzyka prawie całkowicie tkwiła w (ummiemy to ogólnie) modernizmie, dźwiga się z każdym rokiem z przymusowego, okupacyjnego marazmu. Tworzy ją za-

stęp poważnych, wykształconych i utalentowanych muzyków, ba, zdobywa sobie coraz silniejszą pozycję w świecie. Toteż trudność sprawa nie leży w tym, że nie ma zamiaru występować personalnie przeciwko cenionym kompozytorom — a tylko przeciwko kierownikowi, któremu hołduje, przeciwko temu, że mając talent, nie tworzą dzieł, których odbiorcą może się stać cały naród.

Jakie zarzuty stawia Zdanow nowoczesnym muzykom radzieckim? Zarzuca im: brak dostępności, wulgaryzm, odwracanie się od tematyki ludowej, chęć prześcignięcia i odrzucenia pułchny klasycznej — bez osiągnięcia, jako okresu przedświątecznej doskonałości, formalizm, który dąży do umiędzynarodowienia muzyki, odrywa ją od głębi narodowej, odejście od podstawowych założeń muzyki: melodyki i czystego akordu i przede wszystkim brak prostoty i rzeka ważkie pytanie: Czy nastąpiła likwidacja estetycznego znaczenia muzyki — na korzyść naturalizmu — w którym często nie sposób nawet odróżnić dzieła talentu od prostego szarlatanizmu, czy wprost schizofrenii, która urósł może do stopnia wyższości nad stanem normalnym?

Czy zarzuty te dadzą zastosować się do współczesnej muzyki Polskiej? Prawie wszystkie tak. I my słuchając szeregu nowinek muzycznych, albo opuszczamy oczy w rozpacznej melanchoлии, na temat własnej nieudolności zrozumienia dzieł tchnących „duchem czasu“, lub, aby się do tego nie przyznawać — robimy mądra minę i bijemy brawo. A czy je rozumiemy, czy je cenimy, czy przenoszą nas one w regiony, w których człowiek pod działaniem piękna czuje się lepszy i szczęśliwszy? Na pewno nie. A w każdym razie nie tę znakomitą więszość, która nie chce krytykować, rozbiierać i przez mózg tylko przesiąwać dzieło sztuki — a chce mu się poddać przede wszystkim sercem i tymi niezbadanymi u nas samymi czynnikami, — które jedynie piękno odczuć potrafią i na nie zareagować.

Już starożytni twierdzili, że światem rządzi prawa harmonii. I harmonia ta w sensie współdziałania dźwięków przeniesiła na grunt muzyki i trudno, nawet dziś, walczyć z założeniem, że podstawa dzieła jest je-

go temat melodyjny. Jedno i drugie genialnie wprowadzili w czyn klasycy, a późniejsi romantycy jeszcze pogłęбили dodatkami ducha i wpływów zewnętrznych, jak ludowość, tradycja, baśń itp.

Wierzymy w to, że muzykami naszych czasów kieruje chęć postępu. Bardzo dobrze. Ale na romantykach muzyka nie skończyła się. Młoda Polska, Młoda Rosja czy Skandynawia, Wagner, a po tym impresjoniści z Debussym na czele, wciąż szukali nowych dróg i znajdowali je. I muzyka ich przetrwała i przetrwa. Rozumiemy ich i czujemy. Bo wyrosli na gruncie jednym dla wielkiej sztuki: na gruncie narodowym. Tak, jak Chopin, czy Moniuszko, nie zostawiają wątpliwości co do polskości klimatu, w którym ich geniusz został wyhodowany — tak w Czajkowskim zawsze znajdziemy odbicie Rosji — jej ducha i kultury, a w Debussym wdzięk i esprit Francji. A u nas?

Najczęściej otrzymujemy odpowiedź — że współczesna muzyka Polska gąży szlakiem wyliczonym przez Karola Szymanowskiego. Pozornie mogłoby to wydawać się i słusnym — ale tylko pozornie. Dla nas przeciętnych słuchaczy muzyka Polska — w sensie jej ducha i związków wewnętrznych — na Karolu Szymanowskim skończyła się — jak dotychczas.

Powie ktoś, że i Szymanowskiego w zaraniu jego twórczości nie rozumieliśmy? Nie zawsze „Harnasie“, „Stabat Mater“, Pieśni do poematów Kasprowicza — były piękne i zrozumiałe zawsze. Obcym mógł wydawać się sposób harmonizowania — ale tematyka, głębia uczucia, melodyka i ścisły związek z tradycją i kulturą narodu — zawsze zbliżał każdego słuchacza do jego w. wsp. dzieł. A inne, jak symfonie, koncerty, czy opery, do dziś zostały dalekie przeciętnemu słuchaczowi i bliskie są tylko nielicznej garstce zagorzałych modernistów.

Idąc dalej, spytać należy, jakie losy czekają pieśń popularną? Nie pamiętam dziś, gdzie i kiedy (czy nie z okazji konkursu na pieśń masową) przeczytałem, że jeden z jurów poważnie obawiał się, aby z natłoku utworów nie wyłowić jakiejś nowej „przańniczki“. Nie rozumiem jego obaw. Bodaj by wyłowić I przańniczkę i nosienkę żołnierza i chór z 3 aktu „Halki“ i temu podobne. Bo trudno przypuścić, aby pieśni dzisiejsze, obojętne, obce, nie melodyjne i

przede wszystkim rażąco atonalne, mogły tamte zastąpić. Słyszałem kilka nowoczesnych pieśni na próbie chóru im. Szymanowskiego. Jedynie co mi zostało w pamięci — to podziw dla zdolności nauczania się ich przez ambitny zepół. Chyba, że fałszowali, a tylko ja w dobrej wierze przypuszczałem, że to nowoczesna harmonia, gdzie e, czy es — to obojętne (nie teoretycznie, a w praktyce dla słuchacza).

Stajemy wobec zagadnienia wielkiej wagi. Rola muzyki w społeczeństwie nie pozostawia nic do dyskusji. Ważną jest natomiast jej forma. Mamy zainteresować nią cały naród. Mamy przez nią, korzystając z bezpośredniości jej języka, trafiać do wszystkich.

Mamy wytłumaczyć, że jazz dobry do tańca, nie jest muzyką „do słuchu“. Że muzyka ma nam dać przeżycie estetyczne, ma nam dać wytchnienie i chwilę radości po dniu ciężkiej pracy i przede wszystkim mamy dowiedzieć, że jest sztuką piękną. Toteż, gdy idziemy z muzyką do mas, które chcemy dla idei przez nas umiłowanej zdobyć, musimy iść z utworami, które nasze założenia potwierdzą.

Mamy takie utwory. Ale dawne. Sprzed I wielkiej wojny. A chcemy mieć je również z okresu po niej, z okresu dzisiejszego. Chcemy i możemy je mieć. Bo mamy talenty. Gdy słucham szeregu utworów współczesnych kompozytorów — jako muzyk, — nie rozumiem ich, nie czuję, wzdrażam się przeciwko teoriom ich i założeniom — ale czuję głębokie talenty, widzę wiedzę i możliwości. I nie mniej nie obchodzi, że świat muzyczny idzie w tym, a nie innym kierunku. Nie potrzebujemy wznawiać teorii o Polsce „papudze narodów“. Stać nas na własne poczynania, własne założenia i teorie.

I nie krepujemy się powiedzieć sobie, że choć świat teoretyzuje i zachwyca się malarstwem Picasso — dla nas więcej warta będzie Gioconda, czy Ostatnia Wieczerza. Bo tam jest i sztuka i technika i myśl i piękno. A w „Kobiecie z kotem“ — patologia.

I to samo jest z muzyką. Nie bójmy się tradycji — czerpmy z niej pełną garścią, przetwarzajmy ją, ulepszajmy, dostosowujmy do życia i do czasów, których jesteśmy świadkami — ale nie deformujmy jej — nie odbierajmy jej tego co miała najwartościowszego — piękna.

Stanisław Urstein



WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

18

# LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Ale co napisać? Trochę domysłów, trochę obserwacji, ostatecznie, mogą być powierzone. Sam pomysł zwrócenia się do Moniki w takiej sprawie wydał się mu fałszywy. Że Krystyna nie dawała rady z gospodarstwem, było zupełnie naturalne. Znał ją na tyle, że mógł tej okoliczności przypisać źródło rozgoryczenia. Urażały ją drobniaki, zniechęcały ją drobniaki. Pierwsza lepsza trudność odwołała od wykonania zamiaru, zmuszała do porzucenia zamiaru.

W tym stanie rzeczy bardzo był rad swoim przenosinom na Zary. Było istotnie pięknie, tam na Zarach. Domek stał pod wysoki mi starymi lipami, w kotlinie, za nim w głąb zwięzającej się doliny ciągnęły się stawy rybne. Nie miały nic z tego, co Rousseau nazywał tłem romantycznym, opisując jezioro w Brienne. Ogołocone z szuwarów, powleczone zielonym szlamem, który co tydzień zbierało z traw, połączone sztucznie ze sobą, odbijały niebo i brzozy. Od zachodu padał na nie stromy cień wzgórz, porośnięty gęstym lasem. Ku wschodowi dolina robiła się bardziej wypukłą, przeciwległy jej brzeg był łagodny, nagi i falisty. Rosła na nim młoda ozimina, w nierównych tarasach. Środkiem dolinki przepływał strumień, jego szelest najlepiej było słyszeć wieczorem, gdy wszystko już cichło. W lesie odzywały się puszczyki i sowy, las z tej strony był raczej nieprzyjemny: ciemny, gęsty. Od drogi przejeżdżało się między zagonami warzywnymi, przez podwórze — ku domowi, który na tle doliny nie wydawał się niewłaściwy. Ona sama, była tak egzotyczna, tak nieprawdziwa w tej części kraju, przypominała raczej jakąś kotlinę w kanionach Kalifornii, szczęśliwą, odludną farmę dziwaków. Zwłaszcza, gdy wieczorem krowy schodziły z odległych pastwisk. Ze stawów najpiękniejszy był staw pod Grotą o bardzo przezroczystej, niespokojnej wodzie. Pod grotą biło źródło, małe drobne rybki podchodziły do bijącego wzdłuż omszonych kamieni podwodnego nurtu, wyciągały zaciekawione pyszczki, nad słuchiwały czegoś, umykały.

Wieczorem żona rządcy zapalała Tadeuszowi naftową lampę i zaraz potem na strychu zaczynały się niesamowite harce myszy. Dom nie był w pełni wykorzystany w sensie mieszkalnym. Dół zajmowała rodzina rządcy, na pierwszym piętrze jeden pokój zajmował Tadeusz. Drugi mniejszy i jeszcze jeden, wielka sala o dwunastu oknach, stały pustką. W tej sali balowej urządzono Tadeuszowi jadalnię — pośrodku postawiono mały okrągły stolik i dookoła cztery fotele. Uśmiechnął się:

— Po co aż tyle, przecież ja tu nie będę miał gości.

— Kto wie? Może państwo ze dworu przyjdą. Oh, jaka nasza młoda pani jest śliczna — zachwyciła się rządczyni. — Znam mężczyzn — powiedziała z dumą i rodzajem zawiedzionej zgrzyoty — za ładnym buziakiem na koniec świata poleca. Czy to prawda — nachyliła pełny biust nad Tadeuszem — że nasza pani była socjalistką?

— Prawda — uśmiechnął się.

— Matko jedyna! — westchnęło ze zgrozą. — Ten świat dzisiaj!

— Czy pani myśli, że socjaliści to rodzaj wilków? — zapytał z irytacją.

— No nie, tak nie. Ale to są nieprzyjaciele Boga.

— Opowiadanie — mruknął. Nie miała już ochoty przedłużać dysputy. Właściwie, dowiedziała się tego, o co jej chodziło. Tadeusz zwrócił uwagę, że nie spytała, czy pani Kunowska jest socjalistką, tylko czy była socjalistką — jakby samo małżeństwo z Ksawerym mogło rzecz załatwić i w niektórych przynajmniej oczach — jeśli nie zmaczać, to naprawić. Przypomniała mu się uwaga Krystyny o Cezarym Baryce. Jednak, inaczej. Baryka na Chłodku tkwił w odrzuceniu, po przejściu przez dramat. To jedno. Wreszcie, Baryka wyrósł na wroga Nawłoci. Nawłoc go nie zaraża. Jeśli już o truciznę idzie, pomyślał, to najtrudniejsza jest pozy-

cja Krystyny. Cały atak tego środowiska skieruje się na Krystynę. Biedna Krystyna. Będzie musiała naprawdę stoczyć walkę o siebie. Może się to już nawet zdarzyło. Tecznie, Ksawery był naprawdę z tamtej strony barykady. Barykada, którą szła linia barykady? Gdzie byłby dziś Baryka? Miałby czterdzieści parę lat, w sam raz wiek, aby zająć posterunek po Gajowcu, toczyć te same papierowe rozmowy, wspominać. Wspominać — swój marsz pod Belweder. Był już zupełny mrok za oknami, strumień szeleścił jak wiatr jesienią w stosach opadłych liści.

Dla Baryki istniała tylko taka alternatywa — szkliste ojcowskie wizje, choroba tęsknoty bakińskiej — i gniew burzenia, patos walki, patos zemsty. Gajowiec — myślał Tadeusz — musiał go przekonać o jednym: że wszyscy w Polsce, którzy są zwolennikami umiarkowanych reform, niemal niedostrzeżalnie stają się obrońcami okopów Świętej Trójcy. Wola reform w Polsce utrwałała się zawsze jako wola utrzymania ancien régime'u. Przywiązanie do rzeczy znanych, przez kazanych przez tradycję, było silniejsze niż wola naprawy. Reformiści, osiągnąwszy zwycięstwo, nawracali do starych zwyczajów, do vetera et tradita — od czasu konstytucji 3 maja po rządy piłsudczyków. I to było w decyzji Baryki wielkie i szlachetne — decyzyja na zniszczenie po korzeń. Iść pod Belweder, pamiętając Baku, pamiętając śmierć ojca — tak, to nie było małe moralnie. Tadeusz był pewien, że Polsce potrzeba jeszcze jakobinizmu, przez który Anglia przeszła za Cromwella, Francja w epoce Terroru, Rosja w strasliwym roku 1917. Ale to musi być polski jakobinizm — jak ostatecznie Cromwell był Anglikiem, Robespierre Francuzem, Lenin Rosjaninem. Dlatego należało w socjalizm wteknąć płomienie, włożyć mu stopy w sandały z ognia. Miał na balkonie rozłożone notatniki, papiery. Zaczynał na nowo pisać, szło z trudem. Najtrudniejsze było zacząć. Jakies wielkie lenistwo. Poszedł na balkon pochować papiery. Księżyc o wielkiej złotej tarczy stał wysoko nad brzożami. O tej nocy można było powiedzieć, że miała w sobie jad. Szarpała pierś niepokojem, przecuciami, gdy stał tak oparty o framugę drzwi.

Jad... Nie mógł zasnąć, przewracał się na łóżku. Istniało coś takiego jak patos rewolucji, patos zemsty. Ale Tadeusz odrzucał ten patos, w gruncie rzeczy banalny i łatwy. Pociągało go coś innego: budowa, wizja zupełnie nowego świata. Właściwie nawet to jedno czuł bardzo wyraźnie, aby ten nowy świat nie powstał z krwi.

— Nie może być dyktatury proletariatu bez czerwonego terroru — sformułował kiedyś Nędza. — Kto myśli inaczej, oddaje się inteligentnym mrzonkom i jest dla rewolucji szkodliwy. Osłabia jej impet.

— Ale dlaczego?

— Bardzo proste. Czynniki kotrewolucji nie będą się wahać w użyciu siły. Jeżeli my będziemy się wahać, zostaniemy po drodze, przy drodze. A w takich sprawach chodzi nie tylko o to, aby uderzyć jako pierwszy. Ale i o to, aby uderzyć dokładniej.

Przypatrywał się jego głowie, ogolonej maszynką na zero, jak głowa katorznika, z guzami na czole, z ostro zarysowaną brodą. Twarz gruźlika w ostatnim stadium, zapadła, o cerze ziemistej, skupiona, czyhająca na każdą myśl przeciwnika. Przechodził natychmiast do ataku, nieustępliwy, zaciekły.

— Uważacie się za komunistę? — zapytał nagle Tadeusz.

— Nie wiem jak mam rozumieć to pytanie.

— Tak jak brzmi. Nie rozumiem nadmiaru waszej ortodoksalności.

Odął usta, syknął przez rzadkie zęby. Brał kawałek kilku przednich zębów; mówiąc, od czasu do czasu wydawał syk.

— Ah, jeszcze i to. Powiem poprostu: trzeba się liczyć z faktami. Dziś świat się dzieli tylko na dwa obozy. Nie przystając do jednego, przechodzi się tym samym do drugiego.

— Nigdy w świecie. Takie rozumowanie to prostactwo.

— Jeszcze jedno ze złudzeń radykalizującej inteligencji. Ja nie wierzę we front ludowy, oparty na sojusznikach, na porozumieniach. Istnieje tylko jeden front ludowy — zorganizowany proletariatus.

Czelepiński znajdował, że jego stosunek do Nędzy jest osobliwy. Rozumiał raczej tam tego, rozumiał jego sposób myślenia. Musiał jednak myśleć odrębnie, inaczej. Nie było między nimi możliwości osiągnięcia zgody.

Usnął w końcu, otworzywszy okno. Wdarło się chłodne powietrze, nasycone wilgocią. Szum wody na stawie, a nad tymi szmerami nocy — jakby gwiazdy błyszczące — kłaska słowików.

Przedpołudniem spędzał na Zarach. Nazywało się, że pisze. Ustawiał fotel na balkonie, nogi przerzucał przez poręcz, z kartkami papieru na kolanach, z wiecznym piórem w rękę, wpatrywał się w niebo, zasnuła białymi pierzastymi obłokami, w drzewa. Jaskrawa świeża zielen brzoż i dębów, dęby o zieleni młodej, odrobinę żółtawej; jabłonie w sadzie przekwitwały, zaczynały kwitnąć przed domem truskawki na całym zagonie. Po południu chodził do Włuk, najczęściej szedł prosto do ogrodu. Była pora bzów: białe, liliowe i ciemne, mocne w zapachu, tu reddie podwójne. Potem wracał do dworu i siadał na werandzie w fotelu na bieżunach. Stefka przynosiła kawę i stawała obok na małym stoliku. Zjwiał się Ksawery lub Krystyna, rzadko przychodzili razem. Potem — nareszcie — zapadał późny wieczór. Na niebie pojawiały się różowe pasma, niebo było wysokie w zenicie, bladobłękitne. Cała seria ciepłych dni. Już koło szóstej błyszczał rożek księżyc, błąd, żółtawy, czekał swej kole. Potem świecił, oslepiająco srebrny.

Parę razy wyciągnął Krystynę na spacer. Zachwycała się, że to wszystko jest pięknie — i linia lasu, i park, i przekwitające w polu samotne wysokie czeremchy. Nie zwracała większej uwagi na przyrodę, murtowało ją co innego i to było wyraźne. Bał się, że zacznie o tym mówić, wołał, aby mógł pozostać przy swoich domysłach. Gdyby się dowiedział, na leżałoby może coś radzić, coś przedsięwziąć. Nie czuł do tego żadnej ochoty. A jednak Krystyna musiała w końcu poruszyć ten temat, bo ją obchodził najsilniej, a zbyt mało posiadała hipokryzji — czy zdolności do socjalnego kłamstwa, aby mówić nie o tym, co ją nurtowało naprawdę. Nie umiała siebie omijać, była zawsze w środku swoich spraw, nie umiała się od nich uwalniać, zawsze ją cokolwiek przygniatały. „Coraz bardziej wy daje mi się to wszystko beznadziejne” — sformułowała, ścinając szpicrutą młode, na technione wiosennym impetem, trawy. Unikała skarżenia się, tymbardziej, oskarżania, widać było jak usilnie chce być lojalna. A jednak była to skarga. Czuła się skrzywdzona, nieledwie oszukana.

— Ja się czegoś wyrzekłam, sama jeszcze nie wiem czego, ale wiem, że się wyrzekłam. Może was wszystkich, może zdolności do po rywu? Czy uwierzysz, ja już przygasałam, zbłąkałam — tutaj, w tej atmosferze. Jest zatrważająca, tu się nic nie dzieje, tu się czeka na nic. Bo Ksawery wie, że się nic nowego nie zdarzy.

— Czy nie przesadzasz, Krystynko?

— Ależ nie. Namawiałam go, aby coś robił poza tym, poza Włukami. Bo ja wiem, choćby niech pisał... Nie wrzusał ramionami, on jest — uważasz — taki dobrze ułożony. Z nas dwojga to ja wrzuszam ramionami, gdy nie chcę się złościć. On patrzy, mruży oczy i mówi niechętnie, przez ledwo rozsuwające się wargi, powoli. Gotów jest coś zrobić, ale na zamówienie społeczne. Mówi, że bez jakiegoś wezwania, bez odczutej czyjejś potrzeby, nie wie może napisać, ani w ogóle robić. Ksawery uważa, że nie nadaje się dla muz, że mógłby być pożyteczny, gdyby go ktoś wykorzystał, tylko, powiada, jest nikomu niepotrzebny. To lenistwo, szukające pozorów byle jakich. I dlatego u nas się nic nie dzieje, mówię ci, czasami brak nam tematu do rozmowy.

Urwała, jakby się domyślając, że mówi za dużo. Gdy Tadeusz wciąż milczał, spróbowała się wytłumaczyć.

— Inna kobieta nie mówiłaby tyle, nawet tobie, w parę tygodni po ślubie. Ty mnie jednak znasz, ja muszę mówić o tym, co czuję — skoro czuję. Najgorsze jest, że Ksawery spoczywa na laurach, których sam zresztą nie widzi, i to go gryzie. Bo on się też jakoś gryzie. Nie możemy oboje tak tkwić tutaj razem, bez inicjatywy. Ja tego nie wytrzymam, w końcu ja będę musiała coś zrobić, sama nie wiem co, już się oduczyłam siebie dawnej, jeszcze nie wiem jaka jestem nowa. Śniadanie, obiad, spóźniająca się kolacja — wybuchnęła śmiechem — to jedyna odmiana, że kolacja się spóźnia.

— Miłość? — zagadnął.

Potrząsnęła głową.

— Mężczyźni są takimi egoistami.

— Tego nie jestem pewny.

Nie odzywała się już, zawróciła ku domowi. Szli alejką, obrośniętą bzami, śpieszyli się, nie widziała kwiatów. Tadeusz rozumiał, że teraz Krystyna chce go zostawić samego, że on jej cięży, właśnie dlatego, że milczy. Nie znajdował jednak słów.

Mimo późnego popołudnia był jeszcze wciąż upał. Krystyna znikła w domu, Tadeusz siedział na ławce na trawniku. Przyszły psy, stara Juno o obwisłym ogonie, małeńki szczeniak Aza, wynik potwornych psich megalizansów, karykatura — jak psia nazywał Ksawery. Psy nie miały ochoty do zabawy. Położyły się w cieniu ławki i drzemały. Naukos przez trawę nadchodził Ksawery i Tadeusz krzyknął ku niemu:

— A co dalej?

— Będziemy czekać wieczora. — Usiadł obok Tadeusza na ławce, patrzyli w milczeniu na bzy, bardziej teraz liliowe i białe niż zielone, osypane kwiatami, trzmielami, pszczołami, zapachem.

— Myślę tak sobie — odezwał się Ksawery — że ze mną coś się dzieje jakby na marginesie kolejności, którą przewiduje natura. Wchodzę w styl życia, który mi jest obcy, którego nie rozumiem i nawet nie chcę. Bardzo trudno jest posiadać, nie łatwo jest posiadać...

— Nie należy niczego posiadać — wtrącił Tadeusz.

— To nie jest prawda. Właśnie cały wysiłek człowieka w to idzie — zdobyć i mieć. Jakby powiedzieć? Chodzi o utrzymanie, nie łatwo jest utrzymać... Ogarnia jakaś nierozsądna pewność bezpieczeństwa, spokoju, dosytu. I wtedy się okazuje, że nie, że rozplynęło się w palcach, nie ma się nic. Należy posiadać. Każde uczucie, śmieszne lub tragiczne, do tego zmierza. Z głębin dzieciństwa przypomina mi się moja babka, ona odczuwała tragizm posiadania, co prawda w śmieszny sposób, ale to nie szkodzi. Miała obsesję, że ją okradają. O tej porze, w maju, liczyła kwiaty truskawek, potem zielone owoce... Zapisywała. Biada ogrodnikowi, gdy owoców było dużo mniej. Robiła sceny, rozpacziała. I jej się posiadanie rozchwiewało w rękach, umykało z rąk.

— Własność wszelka jest wbrew prawom natury. Utrwała posiadanie, nie wymaga od nas wysiłku. Po prostu, zapisuje się — to jest jego. I on ma tylko pilnować. Tymczasem w istocie posiadania jest ciągle nowy wysiłek, nie to, żeby zachować, żeby zdobyć raz jeszcze po raz drugi, po raz trzeci — na nowo. I dlatego twierdzę, że nie należy niczego posiadać. Czy jest rzecz, którą by była godna takiego wysiłku? Raczej przechodź od jednego do drugiego, cenić swój wysiłek, a nie wiązać go z fetyszem. Nie przychodziło ci na myśl, ile jest fetyszizmu w tym, żeby mieć?

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Zapewne, w nagromadzeniu skarbów, których się już tylko pilnuje, jest jakaś toksyna bezwładu. Ale ja myślałem szerzej, w ogóle o posiadaniu — rzeczy, człowieka.

— Gdyby nie było tak gorąco, oburzyłbym się na ciebie. Niewolnictwo minęło, nie można posiadać człowieka.

Ksawery się zaśmiał.

— Pewnie, tak jakby był rzeczą, nie można. Ale istnieje posiadanie przez uczucie, przez związaną. I jest zapewne najtrudniejszym rodzajem posiadania. Myślę, że łatwo byłoby mieć w tym sensie jakąś małą biedną duszę, zupełnie nieskomplikowaną. Jakób i Lea w biblii, żony mieszczańskie w XIX wieku. Ale wtedy budzi się sprzeciw w posiadaniu, niechęć, przeświadczenie, że nie warto.

(c. d. n.)

# Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

W związku z artykułem p. Mieczysława Maliny p.t.: „Sierpień był także w Londynie”, zamieszczonym w „Dziś i Jutro” Nr 146/48, nasunęły mi się następujące uwagi:

1) Niesłusznie autor krytykuje pojęcie polityki na wyrost, odnoszące się do tej polityki polskiej, która spowodowała wybuch powstania w Warszawie.

Niesłusznym jest również twierdzenie, że ta „polityka na wyrost”, była potępieniem mitu polskiej „mocarstwo wojski” i polskiej „samowystarczalności”. Trzeba długo to udawać. Ale ostatecznie po owocach poznajemy je. Ten sprawdzian ewangeliczny można zastosować i do genyzy Powstania Warszawskiego. Fakt, że w dowództwie AK mieli kierownicze stanowisko sanatorzy i oni to właśnie zdecydowali o wybuchu powstania (np. „Grzegorz” — Pełczyński), udawania tezę o ciągłości tradycji mocarstwowych i o udziale ich w genezie powstania. Bohaterstwo Warszawy walczącej należy oddzielić też na zawsze od karygodnej lekkomyślności polityków, którzy je wywołali.

2) Niesłuszną wydaje mi się krytyka afiszów polskich w Londynie. Tego rodzaju plakaty mogły nie odpowiadać autorowi artykułu, ale są zrozumiałe dla wszystkich. Były one niewątpliwie wyrazem słusznej myśli, zarzucającej państwu zachodnim odrzucenie nauki Chrystusa w życiu politycznym. Odrzucenie to do dzisiejszego dnia tragicznie się na nich mści.

3) Zgoda fatalistyczna i par excellence mesjanistyczna jest teza autora twierdząca, że „pojmujemy lepiej konieczność największych ofiar, które ponosić muszą w pierwszym rzędzie te ludy i narody, co czują, że ten nowy czas będzie ich epoką i że muszą weń wejść w pełni własnej woli”.

Autor krytykujący mesjanizm polski rzuca zgodę mesjanistyczną tezę. Jest to oczywiście mesjanizm laicki, bez Chrystusa, ale za to z kantowskiem pojęciem „własnej woli”. Jest to pomieszanie porządku nadprzyrodzonego z porządkiem przyrodzonym. Autor niesłusznie przypuszcza, że ofiary doczesne „mogą usprawiedliwić” i przygotować do wejścia w nową epokę. Zapomina o pojęciu ofiary nadprzyrodzonej, ofiary Chrystusa na ołtarzach, ofiary naszej w duchu religijnym poczętej. Imponują mu tylko bezmyślne ofiary krwi, o wielokroć mniejsze w wartości, aniżeli ofiary w nadprzyrodzonym życiu człowieka poczęte.

4) Zgoda kabalistycznie brzmi teza autora twierdząca, że „Sprawdzeniem rzetelności programu politycznego jest jego dostosowanie się do stopnia poznania i opanowywania przyrody przez człowieka”.

Teza ta jest ogólnikowa i nie wiele mówiąca. Miesza ona porządek techniki z porządkiem polityki w sposób zgoda nieuzasadniony.

5) Autor w swych tezach o nowej epoce i o końcu świata, wyraźnie stoi na stanowisku ideologii chłistystycznej, nie mającej jak wiadomo nic wspólnego z katolicyzmem i wrogiej w stosunku do niego. Błędną i śmieszna jest jego teza, że człowiek może preparować w swoim laboratorium koniec świata. (autor prawdopodobnie ma na myśli rozpad atomów uranu).

6) Bezzasadną tezą jest twierdzenie, że „nasza osławiona głupota, ostatnich wieków staje się dziś, u progu nowej ery naszym wielkim atutem”.

Jest to typowa teza „polskiego romantyzmu politycznego”.

Jak tragicznie jest on niebezpiecznym dla nas, to właśnie dowodzi powszechność tego nastawienia ciągnąca się od Zatońskiego do Maliny, przez całe społeczeństwo polskie. Od katolika do marksisty, przez wszystkie

partie i warstwy społeczne. Jest to oczywiście teza rozpaczy, tego grzechu przeciwko Duchowi Świętemu. Czytając tezy Maliny, sądymy, że Freud miał rację wysuwając obok libido — siłę tanatos (instynkt śmierci) jako drugą motoryczną siłę kierującą postępowaniem człowieka. Instynkt samobójczy jest wrodzony Polakowi. I instynkt ten tragicznie przejawiał się masowo w dniach Powstania Warszawskiego i teraz przejawia się jeszcze w apostołach typu Zatońskiego i Maliny.

7) Zupełne niezrozumienie wartości cywilizacyjnych, roli tradycji kulturowych, jakiś bezmyślny instynkt „wiosennego biegu” Kiplinga (Kipling — Księga Dżungli), cechuje tezę Maliny, brzmiającą: „Możemy jako naród, młody i ludowy, śmiało skoczyć w przyszłość, pozabawieni zbędnego balastu”. Autor zaprzecza tą tezą wszystkim wartościom cywilizacji łacińskiej (patrz Koneczny — Rozwój moralności), stoi najwyżej na stanowisku cywilizacji koczowniczej np. turańskiej. Stoi on na stanowisku jakiegoś nowoczesnego rousseauizmu, zastosowanego w stosunku do całych narodów (patrz znakomita krytyka rousseauizmu — Maritain — Trzej Reformatorowie).

8) Dziwną jest teza autora, twierdząca, że wytyczną historii polskiej jest stopień ducha religijnego z treścią socjalistyczną. Jest to ogólnik nie wiele mówiący a świadczący niepochlebnie o precyzyjności terminologicznej, używanej w rozumowaniu autora. Nawet Boullier wyraża się nieco wyraźniej, aczkolwiek w tym samym duchu.

Pojęcie mgławicowego „ducha religijnego” i równie mgławicowego pojęcia „treści socjalistycznej”, która jak w ona noc wieków we wstępie do Kordiana — będzie się stapiać z tym duchem, nasuwa nam tylko wyobrażenie potwornego homunculusa ze stopienia tego zrodzonego.

Zdaje się nam, że umieszczanie takich artykułów z gruntu sprzecznych z ideologią katolicką, w czasopiśmie katolików, nie jest rzeczą wskazaną. Dezorientuje to czytelników.

## JUŻ CZAS I NA COŚ BARDZIEJ KATOLICKIEGO...

W naszej świeckiej prasie katolickiej spotykamy dwa rodzaje pu-

blicystów: jedni, którzy omawiając daną kwestię, nie mają wiaściwie na celu jej rozwiązania, lecz jedynie tylko popisania się przed czytelnikami swoją erudycją i oczytaniem w dziełach autorów zagranicznych — inni, którzy nie bawią się w żadne kołowania, mówią otwarcie o co im chodzi, i rzną prawdę prosto z mostu. Celem pierwszych jest pisanie dla pisania, chęć rozgłosu i literacka kariera — drudzy szczerze i po prostu chcą służyć sprawie publicznej, bez względu na to, co powiedzą zawodowi literaci, a to w myśl słów św. Augustyna: „Vitupeant nos grammatici, dummodo intelligent nos christiani”...

Publicyści kategorii pierwszej nie zgodzą się nigdy z drugą, choćby ci ostatni sprawę jasniej od słońca stawiali. Zarzuca im zawsze ciasnotę horyzontów, upraszczanie sprawy, beztroską ignorancją i t. p.

Dla ilustracji niech nam posłuży jeden przykład.

W 126 n-rze „Dziś i Jutro” (dział „Czytelnik uważa, że”) p. Z. Jakimiak poddał druzgocącej krytyce literackiej rozważenia się p. Kisielskiego o liberalizm. Powiedział on tam między innymi: „Liberalizm jest herezją, to jest poglądem, wziętym z chrześcijaństwa, a wywodzącym się z nauki o wielkiej godności człowieka, poglądem wyrwanym z całego kompleksu innych poglądów, które go miarkują, kontrolują i nadają mu wartość ludzką, a odbierają cechy zwierzęce. Zgoda na liberalizm, ale pod warunkiem, że razem z nim będzie się mówić o sprawiedliwości, o miłości bliźniego, o pokroju, o wyrzeczeniu się, słowem o całej nauce Kościoła, w której liberalizm zginie i stanie się tylko drobnym szczegółem.”

Rzecz, jak widzimy, całkiem jasna, prosta i zrozumiała. Czyż to bowiem nie herezją palić się do liberalistycznych koncepcji katolickich, których wartość praktyczną istnieć może jedynie tylko przy równoczesnym stosowaniu całokształtu zasad katolickich, lecz o konieczności wprowadzenia w czyn tychże zasad nie chce ani słuchać? Komu obojętna przyczyna, ten i na skutki niech nie liczy. Bez pracy nie będzie kołaczy; nie rosną gruski na wierzbie....

Katolickość nasza jest bardzo problematyczna: pisać o niej, gadać, demonstrować ją zewnątrz — owszem ale w praktyce, kto liczy się z wiecznością? komu zależy na stałym pozostawaniu w lasce poświęcającej? Pograżeni w materializm, gonimy tylko za doczesnością, a kto myśli o pracy nad zbawieniem swej duszy? Bijemy brawo encyklikom papieskim, czy też enuncjacjom Episkopatu, gdy te poruszają sprawy społeczne lub państwowe, lecz na wezwania Kościoła do pokuty, do reformy obyczajów — odpowiadamy milczeniem. Przestrogi Chrystusowej: „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego”... bezkarnie ignorować nie można. Pokój, wolność, unormowane stosunki społeczne, pomysłowość doczesna — to owoc bogostawieństwa Bożego, to nagroda za ściśle przestrzeganie zasad Dekalogu i całej moralności chrześcijańskiej. Spoganięcia świata, bezbożnictwa, pijaństwa, rozpusty, dzieciobójstwa i innych zbrodni nie może Bóg premiować w postaci w o l -ności, pokoju czy też dobrobytu. Liberalizm jest koncepcją katolicką, ale samym tylko liberalizmem się zachwycać — to jeszcze za mało. Słusznie przeto kończy p. Jakimiak swój artykuł słowami: „Już czas i na coś bardziej katolickiego”.

stwa Bożego”... bezkarnie ignorować nie można. Pokój, wolność, unormowane stosunki społeczne, pomysłowość doczesna — to owoc bogostawieństwa Bożego, to nagroda za ściśle przestrzeganie zasad Dekalogu i całej moralności chrześcijańskiej. Spoganięcia świata, bezbożnictwa, pijaństwa, rozpusty, dzieciobójstwa i innych zbrodni nie może Bóg premiować w postaci w o l -ności, pokoju czy też dobrobytu. Liberalizm jest koncepcją katolicką, ale samym tylko liberalizmem się zachwycać — to jeszcze za mało. Słusznie przeto kończy p. Jakimiak swój artykuł słowami: „Już czas i na coś bardziej katolickiego”.

„Ale „robiący w katolicyzmie” literaci zawodowi są innego zdania. Nie w smak im jasne stawianie sprawy. Będą oni, jak to czyni p. Kisielski w nr 129 „Dziś i Jutro”, uważający się za reprezentanta „katolickiej” rzekomo publicystyki, kpić z pisarzy typu p. Jakimiaka, będą im niby to przyznawać rację, ale równocześnie równać ich z błotem. Tenże p. Kisielski, pragnąc z kretesem „pograć” o niewygodnego mu werdyka pana Jakimiaka, przybiera pozę bezapelacyjnego, międzynarodowego rzeczoznawcy - społecznika: w słowach górnych, a złączonych, zgodnie z wszelkimi wynogami krasomówstwa, w jeden wielki, prawdziwy demostenowski okres, wydawszy dumnie policzki, powiada: „W epoce, gdy kolosalne trudności społeczne, jakie stanęły przed ludzkością, rozwiązywane są na drodze gospodarki planowej (wszak amerykańizm nie jest również niczym innym, jak kapitalizmem planowym), w epoce, gdy planowość ta podbija coraz to nowe dziedziny, z kulturą, sztuką i wychowaniem włącznie — w epoce tej przed katolicką koncepcją wojnej woli i personalizmu, koncepcją stanowiącą nieodłączny, zasadniczy składnik nauki chrześcijańskiej staje najcięższy, najbardziej ważki problem, jaki napotkała ona na przestrzeni wieków: Jak pogodzić nowoczesne koncepcje planowania we wszystkich dziedzinach — z ideą indywidualnej drogi moralnej i życiowej każdej jednostki, z ideą wyboru własnej, w ramach katolicyzmu, koncepcji dążenia do Prawdy, poprzez indywidualny wysiłek duchowy — oto jest, wydaje mi się, najważniejszy problem katolickiej myśli społecznej w dniu dzisiejszym. Ważniejszego w tej chwili nie widzę; jeśli p. Jakimiak widzi, niechże go wskaże”.

Nie będzie może miał nie przeciwko temu p. Jakimiak, że go wyreczę i oznajmi p. Kisielskiemu, że duch Chrystusowy nie pogodzi się nigdy z duchem tego świata, bo pogodzić się nie może. Przeczekał już Kościół wiele systemów politycznych, filozoficznych i społecznych, to i światoburcze rzekomo dzisiejsze „planowania kultury, sztuki i wychowania włącznie” przeczekają... a swojej indywidualnej drogi

Władimir Słobodnik — MAŁY BEBEN I WIELKI BEBEN, ilustr. Józef Rachwański, str. 35.  
W. J. Lenin — MARKS ENGELS MARKSIZM, Biblioteka Klasyków Marksizmu, str. 459.  
Bolesław Prus — PLACÓWKA, str. 295.  
Eugeniusz Ryss — LENKA SZUKA OJCA, str. 174.  
Jan Brzechwa — NA WYPACH BERGAMUTACH, ilustrował J. M. Szancer, str. 31.

## Nadesłano SPÓŁDZIELNIA WYD. „KSIAZKA”

PORADNIK DLA DZIAŁACZY WIEJSKICH, str. 76.

J. B. Priestley — PAN INSPEKTOR PRZYSZĘDŁ, (Bibl. świetl. KCZZ Nr 9). Sztuka w 1 akcie, skróty T. Brodzkiego.

Konstanty Simonow — DNI I NOCE, okł. J. Rachwański, przekł. B. Rafałowskiej, str. 336.

Leonid Sobolew — DUSZA MORSKA, str. 96, przekł. Klonowskiego. Wanda Wasilewska — W PIERWOTNEJ PUSZCZY, powieść dla młodzieży o życiu ludzi pierwotnych, str. 168.

ŹRÓDŁO DEMOKRACJI LUDOWEJ W POLSCE (Bibl. szkolenia part. KCPER i CKW PPS), str. 24. Leon Kruczkowski — ODWĘTY, str. 131.

Ryszard Matuszewski — LITERATURA PO WOJNIE, str. 219.

Włodzimierz Słobodnik — MAŁY BEBEN I WIELKI BEBEN, ilustr. Józef Rachwański, str. 35.

W. J. Lenin — MARKS ENGELS MARKSIZM, Biblioteka Klasyków Marksizmu, str. 459.

Bolesław Prus — PLACÓWKA, str. 295.

Eugeniusz Ryss — LENKA SZUKA OJCA, str. 174.

Jan Brzechwa — NA WYPACH BERGAMUTACH, ilustrował J. M. Szancer, str. 31.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK” — KRAKÓW — Stefan M. Grzybowski. — WSTĘP DO NAUKI POLITYKI SPOŁECZNEJ — Biblioteka Wyż. Szkoły Nauki Polityki Społecznej TUR w Krakowie, pod red. Stefana Grzybowskiego, seria A. tom 4, ogólnego zbioru, tom 3. KSIAZKA — ATLAS — Wrocław — Warszawa. — Roman Brandtatter — KRONIKI ASSYU. — Inicjały i okładkę projekt. Z. Czerwińska, str. 93.

WYDAWNICTWO „PANTEON” — Jerzy Waldorf. — GODZINA POLICYJNA — powieść, str. 220 + 4 nb.

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA” — Warszawa. — D. Kraminow — DRUGI FRONT, str. 263. Eugeniusz Worobiew — DUMA PIECHURA, str. 144. Dymitr Furmanow — CZAPAJEW, str. 356.

NASZA KSIĘGARNIA — Jadwiga Korczakowska — PAŁAC POD GRUSZĄ, str. 238 ilustr. K. M. Sopoćko.

TRASKA. EVERT I MICHAŁSKI — Rosamond Lehman — ZATRUTE ŹRÓDŁO, str. 413, tłum. Wł. Wierśkiej.

# F I L M

O roli programów pisało się już sporo. Nie wiadomo czy pod wpływem licznych sugestii prasy, czy „spontanizmem” wydawcy oficjalnych programów kinowych zerwali z dotychczasową tradycją streszczeń. Ukazało się parę programów informacyjnych lecz widocznie mianąłtawiej było je produkować i ostatnio realizuje się nowy styl „programów reklamowych”. I oto czytamy (nakład 50.000), że „film „Bolero” jest typową francuską komedią”, że „znakomita artystka Arletty, bohaterka filmu Marcela Carne „Komedianci” oraz Louis Salou, znany z wielu filmów francuskich nie zawiedli podkładanych w nich nadziei”, i wreszcie jedynie słuszne zdanie, że „szczególnie ciekawe są wspaniałe modele sukien i strojów damskich” (Czy suknie to nie stroje?).

Publiczność nawet w imię reklamy nie należy aż tak oszukiwać, a na trywialną i niemądrą reklamę na pewno nie ma miejsca w oficjalnych programach.

Film „Bolero” jest przykładem bardzo złej i źle przełożonej na język filmu — komedii. Trudno w ogóle pojąć dlaczego ten, bezwarunkowo marny obraz dotarł do Polski, dla-

czego został zakupiony i dlaczego w dodatku sugeruje się, że ma być reprezentatywny dla francuskiej produkcji komediowej. Arletty w „Les enfants de Paradis”, czy „Visiteur de soir”, jest niezrównana ale w „Bolero”, jest jak najbardziej nie na swoim miejscu i czynie się w swojej roli źle.

Fabula tej niemądrej komedii pomyłek jest błaża, niedowcipna, dialogi nudne, wąta akcja od początku nie wzbudza zainteresowania. Modele strojów nie mogą naprawić sytuacji.

Pisało się już niejednokrotnie, że mała ilość kin w Polsce wymaga specjalnej troski o repertuar. Argumenty o upowszechnieniu kultury także zdają się nie trafiać do przekonania „Filmowi Polakom”. Głosy recenzentów o dobry repertuar i inteligentniejszo programy przypominają owo przysłowiowe wołanie na puszczy.

Amerikanie produkowali w okresie wojny, beztroskie filmy dla żołnierzy, w których musiało być dużo kobiet, dobrych, na swój sposób pracujących dla armii, jakiś dramat oobisty tęskniący za najdroższym kobietą, motyw wiernego czekania, niepokoju i prawie zawsze niemowlę.

też pokazywano na końcu. „Melodia serc”, wyraźnie należy do tego cyklu i ma wszystkie cechy filmu serijnego, pozbawionego oryginalności Słynna Margaret O'Brien, cudowne dziecko Ameryki, jest zmanierowana, nienaturalna i w niczym nie przypomina doskonałych aktorów dziecięcych, którymi zachwycaliśmy się oglądając radzieckie i angielskie filmy o dzieciach. Akcja jest monotonna, bardzo banalna, gromadka gwiazdek z June Allyson na czele, nieciekawa, gra przeciętna. Montaż nierówny — tempo filmu kuleje. Urozmaica i dodaje rumieńców udział słynnego pianisty i dyrygenta Jose Iturbi, znanego między innymi z kolorowego „Holiday in Mexico”.

Muzyka jest zmontowana w myśl zasady „dla każdego coś miłego” Jaz, Haendel. Szopen, znowu jazz. Przejścia muzyczne są kapitalne, nie mniej jednak wszechstronność wykonawców i repertuar doskonale zgranej orkiestry w europejskim widzu budzi wątpliwość. Być może, że jest to sposób popularyzacji: dla Ameryki muzyki poważnej (przetłumaczonej jazzem) — dla Europy jazzu (przetłumaczonego dla wychnienia muzyką klasyczną). Leszcz.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz niedziel i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Dr. Skoźmowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych B-58445